

W numerze: KAROL BADZIAK *Urojony wypadek* • WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ *Sprawa Judasza* •
 Prezentacje – Maria Szkudlarek • ANDRZEJ GRUN *Sen* • Felietony • Recenzje
 • Zawszqd o wszystkim • Nowela kryminalna

odgłosy



27 (763)
 2. VII. 1972 r.
 Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

FELIKS BĄBOL

ZESPÓŁ RADZI NAD PRZYSZŁOŚCIĄ, MIASTA

Nazwa nie jest zbyt komunikatywna i brzmi: ZESPÓŁ KOORDYNACYJNY DO SPRAW ROZWOJU ŁODZI. Zespół powstał, aby w trakcie pracy nad programem przeobrażeń, które mają się dokonać w tym mieście w wyniku znanych decyzji partii i uchwały rządowej — usuwać wylaniające się przeszkody i trudności. Usuwac szybciej, niż miałyby to miejsce wiede, gdyby programem i jego realizacją zajmowały się tylko wydziały i agendy miejskie. Jakaś sprawa na przykład mogłaby utknąć jedynie dlatego, że pewne przedsiębiorstwo czy agenda przydzium rady narodowej nie czuło się odpowiednio kompetentne. A w zespole są ludzie, którzy mają i odwagę i możliwość omijania raf, podejmowania koniecznych decyzji — ministrowie i wiceministrowie, co najmniej dyrektorzy departamentów z zainteresowanych resortów.

* * *

To było kolejne posiedzenie zespołu, przewodniczył mu — jak na poprzednich — poseł łódzki, przewodniczący Państwowej Rady Gospodarki Materialowej, obecni byli gospodarze miasta, sekretarz Komitetu Łódzkiego. Tego dnia uczestniczyli w posiedzeniu także dwie kobiety — przewodnicząca Zarządu Głównego Związku Włókniarzy — gdyż chodzi o sprawy miasta, w której przeważa problematyka włókiennicza i przewodnicząca WKZZ — bo przy rozważaniu pewnych spraw należy mieć na uwadze interesy ogółu zatrudnionych z wszystkich branż i gałęzi, nie tylko włókienniczej. Reprezentowane więc były związki zawodowe, gdyż Zespół miał ocenić ważną kwestię: jak przebiega wykonanie zadań mających na celu zapewnienie ludziom pracy wypoczynku, czy —

planowane w programie modernizacji Łodzi — budowy ośrodków wczasowych przebiegają sprawnie i czy zadania socjalno-kulturalne na lata przyszłe są należycie przygotowane.

To była sprawa, która wzbudziła zrozumiałą dyskusję. Okazało się, że niektóre resorty, mówiąc delikatnie, zbyt mało precyzyjnie określiły własne zadania i obowiązki w budownictwie socjalnym na użytek załóg podległych przedsiębiorstw, niektóre zaś resorty wypadałoby zdopinguować, aby realniej spojrzaly także na sprawę budownictwa mieszkaniowego. Wiążących decyzji, i pewnego nawet nacisku w tych sprawach, domagała się od sztabu Anna Mroczkowska. Budujący —

Dalszy ciąg na str. 3



Fot.: Henryk Smigacz

KRZYSZTOF POGORZELEC

Monachium: godzina zero

Dokładnie rok temu tak widziałem i relacjonowałem swoje wrażenia ze stolicy Bawarii — Monachium: „Wielkie kretowisko. Rozbebeszone ulice, które zamieniają się w szerokie arterie do szybkiego ruchu. Nie samochodów popędzi przed siebie tutaj, tymi drogami już chyba XXI wieku? Właśnie. To była jedna z wielu zagadek, których rozwiązanie powierzono elektronicznym mózgom, gdyż człowiek — jak się okazało — klasycznymi metodami nie dałby rady tym obliczeniom”.

I dalej: „Rowy, wykopy, płatanna Przewodów, zarysy kształtów przyszłych budowli i gotowe już fragmenty, z których złoży się później jak z klocków całość. A mimo wszystko jest to jakieś przelotne odczucie, ułamek, wycinek budowlano-urbanistycznego delirium, które ogarnęło to miasto i pochłonię niebagatelną kwotę 2 miliardów marek zachodniemieckich.

Monachium — godzina prawie zero. Za niespełna 15 miesięcy musi być wszystko

zaplęte na przysłowiowy ostatni guzik. Tak przynajmniej wierdzi burmistrz Vogel, który w mieście przyszłych Igrzysk Olimpijskich rządzi z ramienia SPD. Ta pewność siebie tutejszego ojca miasta działa na opozycję spod znaku CDU/CSU jak czerwona płachta na byka. Oczywiście gra idzie o coś zupełnie innego, bowiem w gruncie rzeczy w ten właśnie sposób frakcja CDU/CSU atakuje pośrednio samego kanclerza Brandta zarzucając mu zbytnią rozrzutność. Burmistrz Vogel odpowiada na to: — Olimpiada będzie dla Monachium złotym jabłkiem:

Ile set tysięcy, a może milionów turystów odwiedzi to miasto podczas igrzysk dokładnie nie wiadomo, ale tutejsi specje od reklamy, biur turystycznych no i oczywiście hotelarze, obliczają, że chyba padnie rekord z Meksyku. Jak by nie było, 26 sierpnia 1972 roku w Monachium rozlegnie się sygnał olimpijskich fanfar da-

jących znak do rozpoczęcia XX Igrzysk Olimpijskich.

Tymczasem...”

* * *

Tymczasem w Monachium jest niemal „godzina zero”. Pierwszą generalną przymiarkę mamy już za sobą. Główni aktorzy — piłkarze narodowych jedenastek NRF i ZSRR, po gwizdku arbitra, kończącym to spotkanie, cały czas trzymające w napięciu nie tylko przybyłych na olimpijski stadion, ale również miliony kibiców w wielu krajach, którzy tego wieczoru zasiedli przed ekranami telewizorów, dawno opuścili murawę boiska. Tak, ale to był przecież jedynie prolog. Ciąg dalszy musi nastąpić, trzeba go wypełnić odpowiednią, ujętą w ścisłych grafikach

Dalszy ciąg na str. 4



Zewsząd o wszystkim

NOWA SYTUACJA

Poglądy i refleksje

„US NEWS AND WORLD REPORT” — WASHINGTON

Ostatni tydzień znów minął pod znakiem wizyt i rozmów. W Polsce przebywał prezydent Jugostawii — J. Broz-Tito, którego wizyta, nie pierwsza w naszym kraju, okazała się najowocniejszą z dotychczasowych. Już następnego dnia kierownictwo partii i rządu spotkało się na granicy przyjaźni z kierownictwem NRD. Nieco wcześniej premier P. Jaroszewicz prowadził rozmowy w Moskwie z premierem Kosyginem. Listę spotkań dopełnia zapoczątkowana w niedzielę wizyta min. S. Olszowskiego w Norwegii. Jak widać — u progu wakacji, które zresztą rokrocznie skracają się, nasze działania międzynarodowe charakteryzuje wysoka aktywność.

Równie aktywnie toczą się wydarzenia poza granicami kraju. Właśnie miniony tydzień przyniósł kilka godnych odnotowania faktów na arenie międzynarodowej.

Między NRD i NRF w dalszym ciągu toczą się rozmowy na temat „generalnego” ukladu. Przed przerwą urlopową ma odbyć się jeszcze jedno spotkanie. Dotychczasowy przebieg rozmów, jak można zorientować się z dość skąpych wypowiedzi szefów obu delegacji, dotyczy ciągle pozycji wyjściowych i ujawiania różnic zdań. Delegacja NRD wyłożyła swoje stanowisko w sprawie modelu generalnej regulacji wzajemnych stosunków państwowych, podobnie punkt wyjścia zreferowała delegacja NRF. Zwraca uwagę, że w oficjalnych sformułowaniach postulat prawnomiędzynarodowego uznania NRD zastępowany jest teraz formułą pełniejszą: „stworzenie normalnych dobrosąsiedzkich stosunków między NRD i NRF, jakie przyjęte są między dwoma niezależnymi od siebie państwami”. Oczekuje się, że pierwszym wynikiem tych rozmów będzie odstąpienie Bonn od blokowania udziału NRD w międzynarodowych konferencjach, jak na przykład miało to miejsce wobec konferencji sztokholmskiej w sprawie ochrony naturalnego środowiska człowieka.

Tymczasem w NRF sytuację poratyfikacyjną charakteryzuje poszukiwanie przez koalicję rządową dróg wyjścia z impasu w Bundestagu. Ostatnio partie koalicji wypowiedziały się za przyspieszeniem wyborów o rok ten. Rozpisanie ich w listopadzie br. W udzielonym DPA wywiadzie kanclerz Brandt przypomniał, że Bundestag uchwalił już ponad 300 ustaw, a żadna przedstawiona przez partie koalicji nie została odrzucona. Jednak — podkreślił — można dojść do wniosku, że „na nowo należy zwrócić się do wyborców”. Przyspieszenie daty wyborów może nastąpić na dwóch drogach: albo dymisji obecnego gabinetu albo postawienia votum zaufania w powiązaniu z jakąś ważną ustawą, np. nieuchwalonym jeszcze budżetem. Partie koalicji prowadziłyby kampanię wyborczą w oparciu o bilans swoich trzyletnich rządów, w którym wyjście z izolacji na Wschodzie byłoby niewątpliwie punktem najważniejszym.

Z innych europejskich wydarzeń zwraca uwagę uzgodnienie zawieszenia broni w Północnej Irlandii. Jeśli to porozumienie rzeczywiście wejdzie w życie — oznaczać będzie po trzech latach i 9 miesiącach staré i 12 tygodniach po zawieszeniu rządu w Północnej Irlandii i przejściu w pełni władzy w prowincji przez rząd brytyjski — uspokojenie sytuacji. Daleko jednak do rozwiązania problemu, u podłoża którego tylko pozornie leżą właśnie religijne. Zawieszenie broni, choć bezterminowe, z pewnością nie położy jeszcze kresu konfliktowi, którego dotychczasowym żniwem jest ok. 400 osób zabitych w walkach ulicznych.

Większym jednak echem niż wspomniane zawieszenie broni odbiła się w W. Brytanii decyzja rządu o nieinterwencji w sprawie Izraela. Oznacza to, że kurs waluty brytyjskiej będzie płynny. Już teraz przewiduje się jego dewaluację o 2,5 centa w stosunku do dolara. Wiadomość o decyzji rządu brytyjskiego wywołała wielkie zamieszanie na giełdach zachodnich, a przede wszystkim w krajach członkowskich EWG. Jak widać — kryzys walutowy na Zachodzie trwa...

I jeszcze jedna wiadomość z Europy. Włochy będą miały wreszcie rząd. Jak już pisaliśmy na tym miejscu — będzie to koalicja z trzema chadeckimi i przy udziale partii liberalnej. Inaczej mówiąc następuje pewne przesunięcie na prawo. Trwałość tego gabinetu jest wielce wątpliwa. We Włoszech już niejednokrotnie rządy nazywano wakacyjnymi. Czy i dla obecnego to określenie będzie uzasadnione?

Ub. tydzień przyniósł znaczne zaostrzenie sytuacji na Bliskim Wschodzie. Izraelskie lotnictwo oraz artyleria zaatakowały niektóre rejony Libanu i Syrii, powodując ofiary wśród ludności cywilnej.

W związku ze skargą rządu libańskiego zebrała się Rada Bezpieczeństwa. Również Izrael, chcąc odurczyć uwagę od swoich działań agresywnych, zażądał zwolnienia posiedzenia.

Nowe akty agresji wywołały w świecie arabskim duże poruszenie. Prasa egipska postuluje mobilizację wszystkich państw arabskich, syryjska stwierdza, iż te haniebne fakty prowadzą Bliski Wschód na skraj nowej wojny, a algierska przypomina swoją koncepcję powszechnej wojny ludowej przeciw agresorowi. Obecny stan „ani wojny ani pokoju” — piszą niektórzy komentatorzy — ośmiela Izrael do brutalnych aktów. Trzeba więc środkami politycznymi lub militarnymi przerwać obecną niebezpieczną sytuację.

W. SŁAWSKI

^{*)} Jest to określenie tymczasowe, robocze i budzi zastrzeżenia NRD.

Wyciągając wnioski z doświadczeń minionych lat, można już było z góry założyć, że w Zachodniej Europie, oddźwiękiem na wizyte amerykańskiego prezydenta w Moskwie będzie uczucie zadowolenia i satysfakcji ze współdziałania w tym historycznym wydarzeniu.

Jakie nastroje w tych dniach panowały na Zachodzie? Burmistrz Zachodniego Berlina, Klaus Schuetz, wyraża następujący pogląd: „Podróż amerykańskiego prezydenta do Moskwy, porozumienia NRF ze Związkiem Radzieckim i Polską, czterostronna umowa w sprawie Zachodniego Berlina — wszystko to jest tylko częścią całego procesu, częścią ogólnych wysiłków na drodze do odprężenia”.

W Bonn, jeden z wybitnych doradców kanclerza Willy Brandta mówi o tym tak: „Porozumienia, osiągnięte w Moskwie, pomogą do zachowania spokoju w Europie. Jest to szczególnie ważne w świetle wydarzeń w Wietnamie”.

Ale mówimy bardziej szczegółowo. Niektórzy brytyjscy liderzy są zaniepokojeni, że w trakcie wizyty Nixona w Moskwie idea ogólnoeuropejskiej konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy została rozwinęta szerzej, niż zyczyłoby sobie tego rząd brytyjski. Jeden z tych przywódców mówi: „Rosjanie widzą cel tej konferencji w „zamrożeniu” granic we Wschodniej Europie, w otwarcie wrót do najszerzego, międzynarodowego uznania niepodległej Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz w przygotowaniu gruntu pod redukcję ilości wojsk amerykańskich w Europie. A oto opinia pewnej innej, znanej brytyjskiej osobistości oficjalnej: „Wolelibyśmy uniknąć zwołania konferencji w sprawie bezpieczeństwa, ale teraz rozumiemy, że ona i tak się odbędzie”.

W Paryżu, w tej wyprządanej, zatłoczonej samochodami i bardzo drogą zachodnioeuropejskiej stolicy, każdy amerykański turysta szybko dostrzega, że dolar nie jest już tak wszechmocny, jak niegdyś. Wydaje się, że frank francuski jest równie mocny.

De Gaulle miał swoje idee reorganizacji świata i dążył do uczynienia z Francji mostu między Wschodem i Zachodem. Jego następcy nie

marzą chyba o podziale świata, niemniej wciąż jeszcze pielęgnują plany zajęcia przodującej pozycji w Zachodniej Europie. Burmistrz Zachodniego Berlina, Schuetz, emanuje optymizmem, gdy mówi o przyszłości. Spodziewa się on jeszcze większego „zmiękczenia” napięcia z chwilą wprowadzenia w życie czterostronnego porozumienia, a to — wyraża nadzieję Schuetz — przyciągnie do miasta kapitały i zabezpieczy stały dopływ młodych robotników z Zachodnich Niemiec.

Uderzająco zmienia się oblicze Bonn, cichego miasta — wsi, które zawsze miało pretensję, że jest tylko „tymczasową” stolicą Zachodnich Niemiec.

Dzisiejsza rzeczywistość jest dowodem, jeśli jest on w ogóle potrzebny, że Bonn stało się już stolicą NRF. Oficjalnie umarło marzenie o powrocie do Berlina, stolicy „zjednoczonego narodu”, która by znów objęła w posiadanie byłe niemieckie ziemie na Wschodzie.

Mówi pewien szwajcarski polityk z Berna: „Europejczyści mają coraz krótszą pamięć. Zapomnieli już o „zimnej wojnie” i kryzysie berlińskim. I nikt nie jest tym zaniepokojony, że Pakt Północnoatlantycki zaczyna się rozpaść”.

We Włoszech przybysz dostrzega od razu, że niezadowolone osiągnęło tutaj poziom maksymalny. Robotnicy są niezadowolony z inflacji i wysokich czynszów za mieszkania. Każdy jest niezadowolony z inercji rządu w kwestii rozwiązania kryzysu w leżnictwie, transporcie publicznym i nauce.

Gdy spytać Włochów, dlaczego zachowują spokój, kiedy ich żywotne interesy w rejonie Morza Śródziemnego stoją w obliczu zagrożenia radzieckiego, odpowiadają: „Ani razu nie widzieliśmy we Włoszech choćby jednego radzieckiego żołnierza. Mamy silną partię komunistyczną. Ale absolutnie nie uważamy komunistów za agentów Kremla. Oto, dlaczego nie trwoży nas Rosja”.

wschodzie, uchroniły się jeszcze lasy sosnowe, dębowe i bukowe zagajniki, cyprysy i platany.

Liban niezliczoną ilość razy ulegał najazdom, a jego miasta obracano w perzynę. Ale stale się odradzał i nigdy nie przestał być ruchliwym centrum handlowym, w którym rozbrzmiewały dosłownie wszystkie języki śródziemnomorskie. Tutaj stykały się i stapiały jak w tyglu różne narody i religie. Dlatego właśnie dzisiejszy Liban jest niesłychanie „pstry” pod względem etnicznym i wyznaniowym. Zamieszkuje go Arabowie, Turcy, Ormianie, Grecy, Czerkiesi, Kurdowie. Nieco ponad połowę ludności stanowią chrześcijanie, maronici, prawosławni, katolicy, ormiano-gregorianie, protestanci. Pozostali Libańczycy są muzułmanami: druzami, sunnitami i szilitami. W kraju istnieje aż 18 gmin wyznaniowych.

Liban jest republiką. Władza ustawodawcza należy do jednoizbowego parlamentu, w którym zasiada 99 osób, wybieranych co 4 lata. Głową państwa jest prezydent.

W ciągu ostatniego dwudziestolecia, po okresie wielkiej imigracji z innych państw, rozpoczął się w kraju długi proces migracji ludności. Bejrut, Trypolis, Saida, Zahle, stały się największymi miastami i najbardziej ludnymi. Pojawili się także wielkie wsie z pięcioma, sześcioma tysiącami mieszkańców. W Bejrucie i jego okolicach mieszka blisko połowa ludności całego Libanu — około miliona osób, z ogólnej liczby 2,4 miliona mieszkańców, nie licząc 390 tysięcy uchodźców z sąsiednich krajów. A przecież sto lat temu Bejrut był małym, zapuszczonym miasteczkiem imperium osmańskiego.

Liban jest krajem rolniczym, o stosunkowo wysokim potencjale gospodarki wiejskiej. Roczny dochód na głowę ludności wynosi 420 dolarów, będąc jednym z najwyższych wśród krajów Bliskiego Wschodu, co należy tłumaczyć głównie szerokim rozmachem w dziedzinie handlu i operacjami bankowymi. Z każdym rokiem rozwija się przemysł. Istnieją już przemysły: spożywczy, włókienniczy, cementowy, przemysł metalowy, drzewny, chemiczny i elektrotechniczny oraz rafinerie ropy.

Od czasu II wojny światowej, liczba ludności podwoiła się. Przyrost naturalny jest niezwykle wysoki i wynosi 2,3 proc. rocznie. Ograniczona powierzchnia kraju i duża gęstość zaludnienia (227 osób na kilometr kwadratowy) oraz, ogólnie rzecz biorąc, słaby jeszcze rozwój przemysłu, zmuszają wielu Libańczyków do emigracji do USA, Brazylii, Afryki, dokąd wyjeżdżają przede wszystkim Libańczycy — muzułmanie.

Liban jest także krajem turystyki. Lagodny, śródziemnomorski klimat wybrzeża, liczne plaże, obfitość owoców — przyciągają tysiące turystów. Oglądają oni i podziwiają nieprzebrane bogactwo pomników kultury libańskiej w Byblos, Baalbek, Tire, Sydonie, Beit-ed-Diule, Trypolisie i innych miastach. Jednakże od czasu wojny arabsko-izraelskiej w 1967 roku fala turystów z Europy gwałtownie opadła. Natomiast zwiększyła się nieco liczba turystów z Egiptu i sąsiednich krajów arabskich.

Po drugiej wojnie światowej oblicze Bejrutu uległo ogromnym przeobrażeniom. Miasto rozrosło się, pojawiły się nowe centra handlowe, nowe osiedla, nowoczesne 10- i 12-piętrowe gmachy. W dni powszednie przez miasto przewija się, mniej więcej, milion sześćset tysięcy ludzi — blisko dwie trzecie całej ludności kraju.

Mówi się tu i ówdzie, że Libańczyk zrezygnuje z wartości duchowych na rzecz natchmiastowych korzyści praktycznych, że jego rysem charakterystycznym jest merkantylizm, odziedziczony po Fenicjanach, że obcy mu jest duch twórczy.

Tak, Libańczyk — to najczęściej kupiec lub znakomity pośrednik. To człowiek, który zawsze umie znaleźć wyjście z najbardziej trudnych sytuacji. Przede wszystkim pragmatyk, w zależności od sytuacji może być twardy lub miękki i uprzejmy. Lubi zartować, jest chytry, gadatliwy. Ma skłonności do handlu, może być wyśmienitym adwokatem, utalentowanym rzemieślnikiem.

Trudno zaprzeczyć, że Libańczyk jest obdarzony wyjątkową zdolnością przystosowywania się do otaczającego go środowiska. Zwracają się do niego o pomoc, gdy już wszystkie inne możliwości zostały wyczerpane. Nawet w dalekiej, zagubionej w samym środku sałwanny afrykańskiej wsi można usłyszeć: „Pójdź do Libańczyka”. W sklepie Libańczyka znajdzie się na pewno potrzebny towar, którego nie ma w żadnym innym miejscu.

Położenie geograficzne kraju zawsze odgrywało ważną rolę w historii i ekonomice Libanu i ono też wywarło decydujący wpływ i na świadomości Libańczyka. Położony na styku dwóch światów: chrześcijańsko-europejskiego w basenie Morza Śródziemnego i arabsko-muzułmańskiego Wschodu, Liban, być może, jest jedynym miejscem, w którym oba te światy współżyją tak blisko i ściśle. Co więcej, współżycie to znalazło swoje odbicie także w cechach charakteru mieszkańców Libanu.

Zdumiewa bystrość umysłu tych ludzi, ich zdolność do przyswajania sobie zdobyczy kultury innych narodów. Ale szczególnie zadziwia splot dwóch kultur: arabsko-muzułmańskiej i zachodnio-chrześcijańskiej.

Przypominam sobie spotkanie z młodym architektem — sunnitem, to jest prawowiernym Arabem — muzułmaninem. Jego przodkowie, wygnani z Hiszpanii przez królową Izabelę, osiedlili się w Libanie w XVI wieku. Wszystko w tym energicznym, kochającym życie Libańczyku, więc znajomość kilku języków, głęboka wiedza w dziedzinie architektury i urbanistyki, nie ustępująca wiedzy najlepszych zachodnich specjalistów — świadczyło, że jest człowiekiem wysokiej kultury. Z równą łatwością myśli w językach europejskich, jak i w arabskim, zna literacki język arabski.

Ten przykład nie jest bynajmniej wyjątkiem, jest on typowy dla przedstawicieli libańskiej inteligencji. Kulturalna „bipolarność” (dwubiegowość) jest nieodłączoną cechą życia Libańczyków. Sami uważają to za cechę przyrodzoną.

W kraju są cztery uniwersytety, wiele szkół wyższych i średnich. Prowadzi się szerokie badania naukowe w dziedzinie matematyki, nauk społecznych, prawa, literatury i językoznawstwa oraz archeologii.

Ale, do licha, nie tak nie fascynuje w Libanie, jak Byblos, miejscowość licząca sobie siedem tysięcy lat, ta mała nadmorska wieś z maleńkim portem, przez który fenicy, egipcyscy i kreteńscy marynarze wywozili tkaniny i cedyrowy las, marmur i granit. Muzeum narodowe w Bejrucie wskrzesza zdarzenia tych odległych stuleci. Jego niezliczone unikalne skarby mówią wyraźnie o obecności na tej ziemi rozumnego, upartego i niezłomnego okrutnego człowieka, na ziemi, która była dla niego jednocześnie doliną i przybytkiem nadziei.

Kontrasty współczesnego Libanu

„ATLAS” — PARYŻ

Słońce szybko kryje się za morze. Na piaszczystym brzegu leży szkielec człowieka, żyjącego tutaj 3000 lat temu. Znalaziono go podczas rozkopywania Szuej-fatu. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym pracują archeolodzy, po autostradzie Bejrut — Sydon, suną sznury samochodów. Z lotniska Halba dolatuje huk samolotów odrzutowych. Kontrasty współczesnego Libanu.

Liban jest niewielki, jego powierzchnia wynosi 10 i pół tysiąca kilometrów kwadratowych. Długość zachodniej granicy, ciągnącej się wzdłuż pobraża śródziemnomorskiego, ma około

240 km. Na wschodzie łańcuch gór Antylibanu jest naturalną granicą z Syrią. Maksymalna odległość pomiędzy zachodnią a wschodnią granicą kraju nie przekracza 90 km. Na północy Liban również graniczy z Syrią, a na południu — z Izraelem. Położenie geograficzne zawsze odgrywało ważną rolę w dziejach Libanu.

Niegdyś pyszniły się tutaj ogromne masywy majestycznych cedrowych lasów. Dziś libański cedr jest tylko narodowym symbolem kraju. W ciągu wieków wyrabano go niemal doszczętnie. Obok cedru, na stromych stokach górnego masywu Libanu, głównie na

Zespół radzi nad przyszłością miasta

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

trzeba stwierdzić — program inwestycji socjalno-kulturalnych miasta kosztować ma w realizacji 2 miliardy 400 milionów złotych — jest to więc zamierzenie na niespotykaną w przeszłości skalę. Mówili związkowcy: — Cieszy ta wielkość środków i ten program, ale chcielibyśmy cieszyć się także z szybkiej realizacji programu.

To co mówiła Barbara Natarska prowadziło do pewnych wniosków: wszyscy uznają już dziś za kanon nie do podważenia, że program socjalny ludzi pracy jest nieodłączną częścią całego programu unowocześnień Łodzi: jej przemysłu i rozwoju gospodarki komunalnej. Z przykładów jednak, jakie niesie doświadczenie wynika, że niezależnie od uznania tej integralności — realizatorzy działają, jak się to mówi — aby zbyć. Wytknięto więc wykonawcom inwestycji, że się grzebią, zamiast sprawnie realizować budowy. W tej chwili np. nie jest jeszcze dostatecznie przygotowana budowa ośrodka sanatoryjnego „Obrońców Pokoju” w Piwnicznej, która miała być rozpoczęta w roku przyszłym, nie przygotowany jest plac budowy ośrodka „Niciarki” widzewskiej w Dziwnówku, pod znakiem zapytania znalazło się rozpoczęcie robót w Rabce, Koblężu i Janowie. Była w związku z tym mała konsternacja, więc przewodniczący sztabu ustalił pewne konieczności. Np., że MPL do końca czerwca powinien opracować konkretny plan działania w budownictwie socjalno-kulturalnym na 1973 rok w oparciu o rzeczywiste możliwości wykonawstwa. Przy okazji wyszedł na światło dzienne paradoks — w całym kraju żalęgi przemysłu chemicznego mają do dyspozycji na ogół niezłą bazę wczasowo-wypoczynkową, w Łodzi jednak nadal nie rozwiązano się tego problemu. Pilnie trzeba stworzyć dla tutejszych chemików co najmniej 700 miejsc wczasowo-wypoczynkowych.

Ale nie tylko chemicy. Ci, których w Łodzi jest 27 tysięcy, na których pracę patrzy całe miasto — budowlańcy, również nie są w dużo lepszej sytuacji. Już w tej chwili np. wynika potrzeba dofinansowania programu budowy ośrodków wczasowych dla budowlanych w okresie do 1975 roku, w wysokości 67 mln zł. Notuje się opóźnienia w budowie hoteli robotniczych, mających duże znaczenie dla sytuacji życiowej tysięcy dojeżdżających na łódzkie place budowy; uciążliwy jest transport ludzi do pracy, odbywa się on bowiem ciężarówkami, a nie autobusami.

Zespół ustosunkował się do sytuacji, w której znajduje się większość przedsiębiorstw produkcyjnych, zwłaszcza tych, których budynki są już mocno zużyte technicznie, gdzie znaczne są odpisy amortyzacyjne. Ponieważ sztywne przepisy finansowe, dotyczące odpisów z tych źródeł na remonty kapitalne hamują inicjatywę w rozbudowie bazy socjalno-kulturalnej dla załóg — postanowiono wystąpić do ministra finansów, aby te przepisy trochę uelastycznił. Jeśli rzecz się powiedzie, będzie to mieć duży oddźwięk w całym kraju. W ten sposób trudna sytuacja ludzi pracy w Łodzi w jakimś stopniu... ułatwi życie załóg również w innych ośrodkach przemysłowych w kraju.

Ale w tej grubej księdze, obrazującej potrzeby socjalno-kulturalne ludzi pracy w Łodzi, którą przedstawił Zespołowi na posiedzeniu, nie dopatrzono się jednej ważnej rzeczy. Zwrócił na to uwagę szef Zespołu:

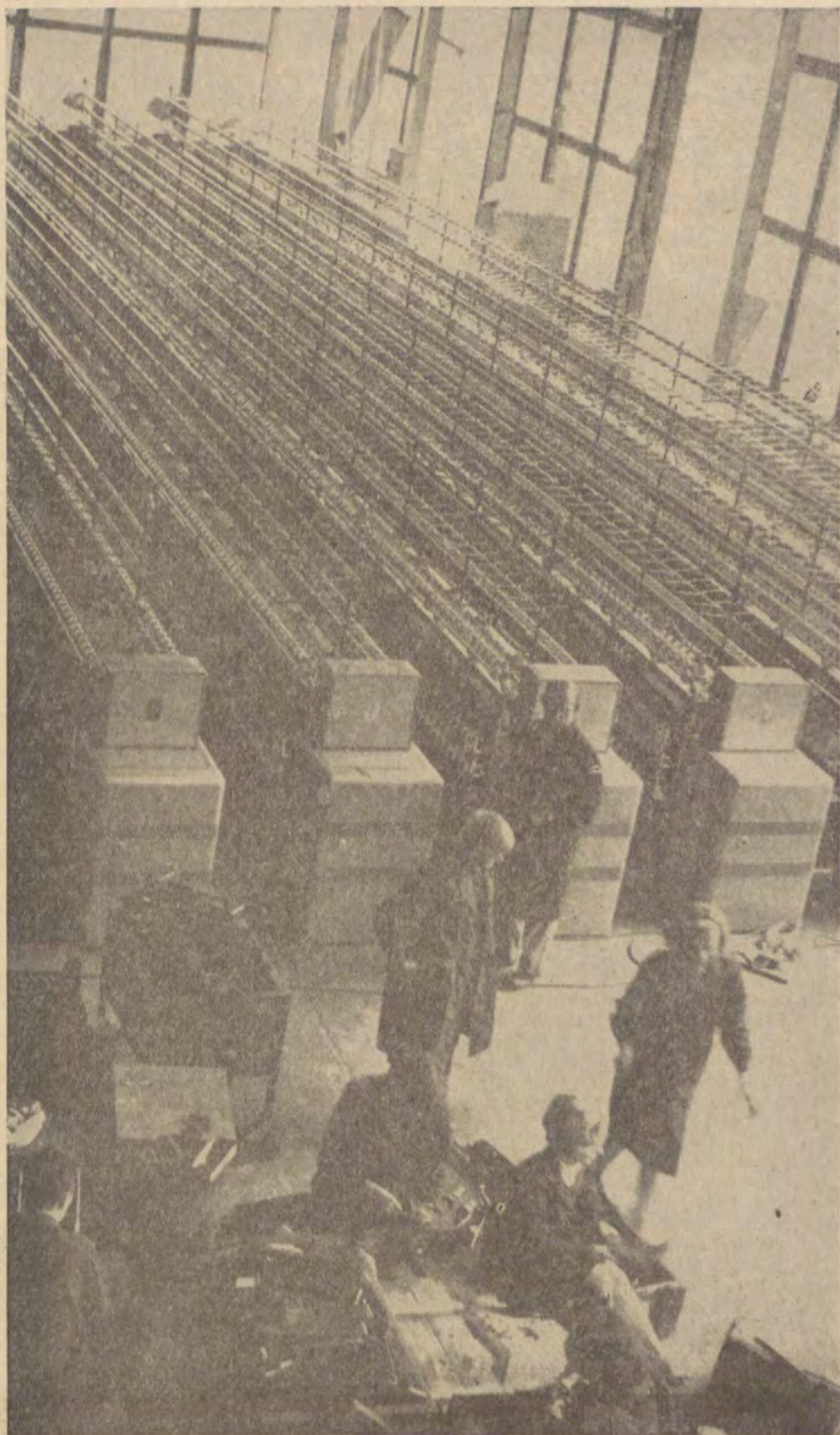
— Dlaczego tu nie ma ani śladu inwestycji, podejmowanych i realizowanych wspólnie przez kilka fabryk, czy nawet zjednoczeń? Przecież byłoby to taniej, gdyż koszty największe — uzbrojenia terenu, instalacji, zaplecza administracyjno-gospodarczego — rozłożyłyby się na kilku partnerów. Również przygotowanie samej budowy byłoby szybsze i sprawniejsze — odpada bowiem indywidualne, osobne dla każdej fabryki, poszukiwanie odpowiednich terenów w górach, czy nad morzem. Wystarczyłaby jedna lokalizacja.

Istotnie, ta sprawa jest do przemysłowców. Łodzi co prawda nie obce są wspólne inicjatywy w określonych dziedzinach. Na Widzewie powstaje np. przychodnia lekarska — gigant dla załóg 17 zakładów dzielnicy, tutaj też — w Łodzi — narodziła się koncepcja powoływania tzw. centrów specjalistycznych w przemysłowej służbie zdrowia. Takie centra mają skupiać w jednym ręku gospodarkę drogim i nie zawsze najlepiej wykorzystywanym sprzętem medycznym, kadrami specjalistów, których w statystyce mamy dość dużo, ale w codziennej praktyce — niewiele.

* * *

I jeszcze jedna sprawa, która wywołała żywą dyskusję: ciepła dla nowych mieszkań, prądu dla nowych fabryk. Potrzeby budownictwa mieszkaniowego — do 1975 r. około 145 tys. nowych izb, a w okresie 1976—1980, blisko 250 tys. izb — każą już dziś myśleć o szybkim działaniu. Np. za trzy lata łódzianie powinni otrzymywać 2200 Gc (gikakalorii) ciepła, czyli o 800 Gc więcej, niż nasze elektrociepłownie mogą wyprodukować obecnie. Jeśli nie przyspieszy się rozbudowy istniejących źródeł ciepła, nie rozbuduje czynnej na Dąbrowie kotłowni — miastu grozi za trzy lata deficyt w ilości 400 Gc. Jednym słowem może być zimno w kilku tysiącach nowych mieszkań. Rozwój posiadanych źródeł energii i ciepła w naszym też nie powinien hamować prac nad przygotowaniami do budowy najnowszej łódzkiej elektrociepłowni — EC-IV na Widzewie.

I tu słowo o przemyśle. Przy rozważaniu potrzeb energetycznych nowych fabryk, okazało się, że żółtym krokiem postępuje sprawa właściwej lokalizacji. Na przykład cztery stacje zasilające mają już za pół roku znaleźć się w realizacji, ale do tej pory nie wiadomo — gdzie je budować. Hamuje programowanie rozwoju sieci energetycznej i ciepłej także zdawkowość zamierzeń inwestycyjnych niektórych resortów. Planisci z energetyki otrzymali np. z MPL takie dane na najbliższe lata: „nowy zakład bawełniany”. Krótko i ładnie — ale teraz planisci łamią sobie głowy, bo nie wiedzą, ile ta fabryka zużywać będzie energii elektrycznej, a ile pary technologicznej na użytek produkcji, nie wiedzą, gdzie stanie ta nowa fabryka,



Fot. E. Kudaj

nie mają więc podstawowych do rozważnego planowania danych.

I w tej sprawie podjął Zespół decyzję: brakujące lokalizacje mają się znaleźć w ciągu 30 dni. Muszą też znaleźć się i dodatkowe środki (bagatela — 600 milionów złotych) na energetyczny rozwój Łodzi.

* * *

Trzeba stwierdzić — gdy się słucha obrad Zespołu, że państwo i rząd są hojne dla tego miasta i że cały ciężar sprawy nie spoczywa już na złotówkach, a na naszych łódzkich możliwościach ich właściwego wykorzystania. A to znów zależy od osobistego zaangażowania się wszystkich ludzi w zjednoczeniach, wydziałach rady narodowej, przedsiębiorstwach budowlanych, od stosunku do pracy. Niedawno w „Tele-Echu” Irena Dziedzic rozmawiała z pewnym młodym i rzutkim człowiekiem, Węgrem z pochodzenia, człowiekiem potrafiącym zarazem innych nawykami dobrej, rzetelnej roboty. Gdy go zapytano, co myśli o tych, którzy źle pracują, obli-

jają się, bałaganą, odpowiedział: — To jest niemoralne. Wydaje się, że na tyle trudnych zadań, jakie przypadało nam wykonać w naszym mieście, można będzie już za kilka lat stwierdzić, w jakim stopniu i my zdaliśmy ów egzamin z moralności.

Ale nie tylko my. Część spraw leży w kręgu działania ministerstw, zobowiązanych do współpracy z Łodzią. Chodzi o to, by nie słabło ich zainteresowanie i — oczywiście — zaangażowanie w sprawy naszego miasta. To jest ostatecznie drobiaz — kto przyjeżdża na kolejne posiedzenie Zespołu, kto ujawnia swe zaangażowanie w łódzkie sprawy. Drobiaz, choć zastanawiający. Może tego dnia wszyscy kierownicy resortów zainteresowanych programem przeobrażeń Łodzi mieli huk roboty gdzie indziej, w każdym razie jest faktem, że w pierwszym posiedzeniu Zespołu uczestniczyło kilku jego członków w randze ministrów, zaś na tym, o którym piszemy, nie było nawet wiceministrów.

FELIKS BĄBOL

KAROL BADZIAK

Urojony wypadek

O tym wypadku można bardzo dużo opowiedzieć, ale wcale nie jestem pewien, czy on się w ogóle zdarzył. Jest to w każdym bądź razie jeden z najbardziej znanych wypadków, które się zdarzyły w polskim górnictwie. Albo, które się nie zdarzyły.

Sprawa znana jest władzom na najwyższym szczeblu, co najmniej dwu ministrom znana jest osobiście, ponadto prezesowi Sądu

Najwyższego i prezesowi Trybunału Ubezpieczeń Społecznych, tudzież Prokuratorowi Generalnemu, a także Najwyższej Izbie Kontroli,

Zarządowi Głównemu Polskiego Czerwonego Krzyża oraz wielu redakcjom, m. in. „Trybunu Ludu”, „Prawa i Życia”, „Przyjaciółki”. („Drogi Czytelniku — list Twój otrzymaliśmy i przeczytaliśmy”).

W listopadzie 1969 roku ukazał się nawet w „Prawie i Życiu” na ten temat duży artykuł, który zaczynał się w sposób następujący:

„Górnik dolowy Mieczysław Klarecki zjechał tego dnia jak zwykle do pracy na szybie „Elżbieta” kopalni „Walenty-Wawel” w Rudzie Śląskiej. Czuli się dobrze. Nie mu nie dolegało. Był — jak twierdzi — człowiekiem w pełni sił i zdrowia. W kilka godzin później Mieczysław Klarecki znalazł się na izbie chorych jako inwalida pierwszej grupy, stuprocentowy kaleka, niezdolny nie tylko do jakiegokolwiek pracy, ale nawet do vegetacji bez czyjejś pomocy. Działo się to w dniu 9 grudnia 1959 roku, Mieczysław Klarecki miał wówczas 38 lat.

Przez następnych 27 miesięcy górnik Klarecki wędrował od szpitala do szpitala, lecz stan jego zdrowia nie poprawiał się. Medycyna była bezsilna, Klarecki jest do dziś dnia, i zgodnie z opinią specjalistów pozostanie do końca życia, człowiekiem nieuleczalnie, ciężko cho-

rym. — Przez ponad dwa lata trwała beznadziejna i z góry przegrana walka o zdrowie Mieczysława Klareckiego. Przez niespełna dziesięć lat trwała walka górnika-kaleki o minimum egzystencji.

Mieczysław Klarecki został uznany inwalidą pierwszej grupy. Z tego tytułu otrzymał rentę w wysokości 1.035 zł. Klarecki twierdzi i usiłuje to udowodnić, iż dzieje mu się krzywda. Twierdzi, że jego kalectwo jest wynikiem wypadku, jankiemu uległ w czasie pracy w kopalni owego tragicznego dnia 9 grudnia 1959 r. Jeśli Klarecki ma rację, jego renta winna być znacznie wyższa, a ponadto powinien otrzymać wysokie odszkodowanie.

Pracodawca Klareckiego utrzymuje, iż kalectwo nie zostało spowodowane wypadkiem przy pracy, ponieważ wypad-

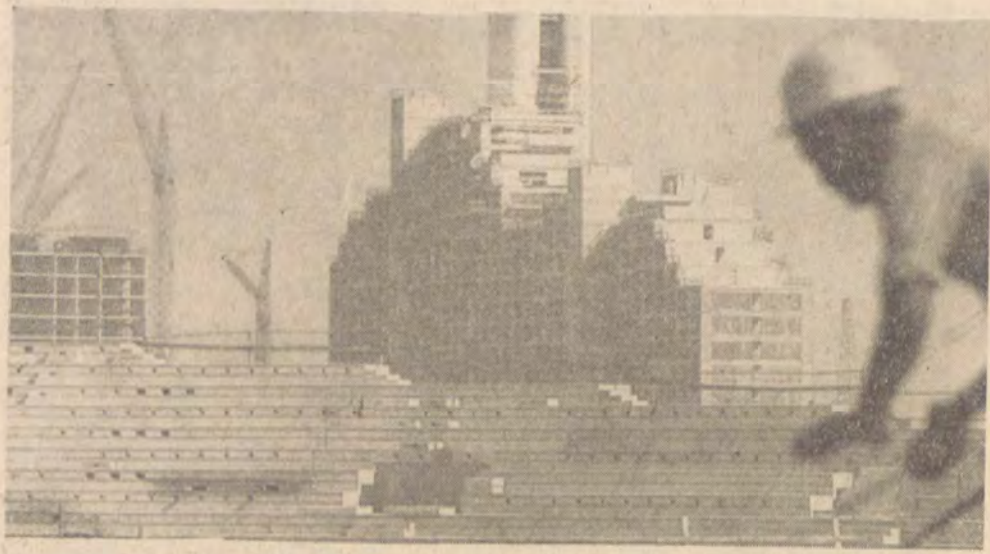
ku, o którym mówi poszkodowany, w ogóle nie było.

Tak powstał spór. Z jednej strony chory, samotny człowiek, unieruchomiony przez kalectwo, żyjący w skrajnej nędzy, walczący o minimum egzystencji, z drugiej zaś wielkie przedsiębiorstwo państwowe, broniące społecznych pieniędzy, broniące we własnym rozumieniu interesu państwa. Czy istotnie obrona kasy kopalni jest w tym konkretnym wypadku równoznaczna z obroną interesu społecznego? Czy w interesie społecznym leżał ten spór? Czy przegrana górnika-kaleki może być uznana za wygraną społeczeństwa?

Artykuł zaś kończył się słowami:

„Nie leży w interesie społecznym... Dalszy ciąg na str. 4

str. 3



(Dalszy ciąg ze str. 1)

treścią. Za parę tygodni rozlegną się tutaj fanfary inaugurujące dwudzieste już igrzyska olimpijskie ery nowożytności...

Byłem zaskoczony. Spodziewałem się bowiem ujrzeć jakiegoś sportowego giganta, który za kilkadziesiąt dni wypełni się setkami tysięcy widzów, tymczasem w Monachium jest inaczej. Centralny stadion olimpijski obliczono z górą na 80 tysięcy widzów, a idea, która temu założeniu przyswiecała to — jak podkreślają organizatorzy — że chodziło im o zbudowanie takiego stadionu, który nie tylko będzie służył igrzyskom olimpijskim, ale i później, kiedy już zgaśnie płomień symbolizujący pokojowe zmagania najlepszych sportowców całego świata. No cóż, z tym zgadzają się wszyscy, którzy już dziś mogli się zapoznać z budowanym w stolicy Bawarii obiektami olimpijskimi, że to idea każdemu przemawia do tzw. zdrowego rozsądku. Kameralnosc tego stadionu chyba zbliża widza do tego, co dzieje się na jego bieżniach i zielonej płycie. Jakże jest tutaj inaczej niż na owych amfiteatralnie wzniesionych gigantach, gdzie trudno, wręcz jest to niemożliwe, dojrzeć, poznać trud sportowej walki, grymas na twarzy zawodnika zmagającego się z konkurentami, a także — bywa i tak — własną niespodziewaną słabością.

Ale wszystko to dopiero później się rozegra, będzie zanotowane na kilometrach taśmy filmowej, zmierzone przez elektroniczną aparaturę, bo człowiekowi nie wystarczą już i w tej dziedzinie rywalizacji nawet, ponoc najdoskonalsze w świecie, chronometry firmy „Patek”. Inny światowy zegarmistrz — „Omega” postawił na elektronikę.

Pan Hans Klein — tutejszy szef od tzw. „public relations”, czyli jak byśmy po swojsku powiedzieli — od urabiania opinii, zawsze wygrzebie z przepaści szaf swojego biura piasowego nie tylko najnowsze egzemplarze „Buletynu”, gdzie szczegółowo odnotowane są wszystkie ciekawsze zdarzenia związane z budową terenów olimpijskich, „opatrzony” w charakterze pamiątki czarnym lub białym Waldim — psakiem ze sztucznego tworzywa będącym maskotką XX Olimpiady w Monachium, ale przede wszystkim zasypie ciekawego i umęczonego wędrowką po olimpijskich arenach przybysza odpowiednio dobranymi liczbami. Ciągnąc zimnego i pienistego „Schultera” dowiaduję się, z pierwszej i oficjalnej ręki, że:

▲ Stadion olimpijski jest najlepiej oświetlonym boiskiem na świecie, potężne reflektory o sile 1800 luksów zapewniają widoczność tego rodzaju, że nie jest przesadą rzeczą, iż wybierając się na zawody odbywające się wieczorem dobrze jest z sobą zabrać... okulary przeciwsłoneczne;

▲ Soczyscie zielona murawa płyty jest podgrzewana, co ma duże znaczenie w przypadku deszczowej pogody, która notabene w Monachium nie należy do niespodzianek;

▲ Lekkoatleci — wasza Irena Szewińska, — mówi pan Klein — będą startowali na bieżni wyłożonej czerwonego koloru „tekturą”;

▲ 140 metrów — to maksymalna odległość z widowni do środka boiska, a 193 metrów do najodleglejszego punktu na arenie sportowej;

▲ Na trybunie zachodniej wybudowano 88 rzędów, na wschodniej — 62, a na miejscach „stojących” — bo i takie są — 44 rzędy;

I tak dalej i tak dalej. Płynnie opowieść o olimpijskich przygotowaniach i... wydatkach.

Jeden z moich starszych kolegów po dziennikarskim piórze, który miał okazję uczestniczyć w olimpiadzie roku 1936, w Berlinie „ery Fuehrera”, powiedział mi później, gdy dzieliłem się z nim swoimi wrażeniami z przedolimpijskiego Monachium, że to co go uderzyło na „tamtych, jak powiedział — brunatnych igrzyskach, to wojskowy dryl, to przyniatający warkot werbli i bębnow, to „parademarsch” karnych i zuniformalizowanych kolumn. Ja, patrząc na tereny XX Olimpiady roku 1972 w Monachium, myślę o jakimś nowobogackim „wypinaniu się”, pokazaniu

— w neoratywnym tego słowa znaczeniu.

Za kilka marek można wjechać szybokobiezną windą na szczyt 182-metrowej, telewizyjnej wieży, gdzie w wolno obracającej się „kuli” urządzone luksusową restaurację. Ceny — też są luksusowe: filiżanka kawy — 3,5 DM, to dziś więcej niż dolar.

Tam gdzieś, pode mną, w dole — tzw. „wioska olimpijska”. W rzeczywistości to osiedle mieszkaniowe, z klocków-bloków złożonych z 1-, 2-, 3-osobowych pokoi, wyposażonych superkomfortowo z radioaparaturą, odbiornikami TV, telefonami itp., itd. Większość z tych apartamentów zajmuje dwa piętra: część „wypoczynkowa” takiego pokoju położona jest na górze, natomiast na dole znajdują się łazienka, mała kuchnia oraz kąpiel do pracy, z regałami na książki, z biurkiem. Kiedy umilkną olimpijskie fanfary „wioska” zamieni się w zwyczajne osiedle, choć mam wątpliwości czy tak bardzo zwyczajne, jeśli czynsz za taki dwupokojowy apartament będzie wynosił 350—400 DM miesięcznie. Dla porówna-

olimpijskiego rozbyłnie ogień znicza symbolizującego pokojowe zmagania sportowców całego świata. Pokojowe, przyjazne. Tak, ale... niedaleko stąd, z lasku Arabella, gdzie mają swoją siedzibę studia rozgłośni „Radio Wolna Europa” i „Radio Liberty” płynie nieustannie w eter truczna. Fax olimpijski jest ciągle zagrożony...

Nie najczystszej wody jest też atmosfera wokół samego przedsięwzięcia, wokół wydatków na olimpijskie objekty.

Nie chodzi już o to, że mali i wielcy handlarze chcą — dla siebie — w odpowiedni sposób „wyrzucić” olimpiadę. Zwykła bawelniana koszulka polo kosztuje 13 marek, ale z dodatkiem w postaci wyhaftowanych na kieszonce pięciu kółek olimpijskich — już 14,5 marki, że droższe są tutaj taksówki, pokoje w hotelach itd. Olimpiada — mówią w pewnych kręgach — musi przecież nam się jakoś „zbilansować”.

Trudno to będzie bilans.

Już po przyjeździe do kraju trafił do moich rąk egzemplarz zachodniemieckiego tygodnika „Stern”, a w nim obszerny artykuł o kulisach przygotowań do XX Igrzysk Olimpijskich. Można w nim znaleźć i takie stwierdzenie: Szwindel w Monachium.

Skąd ten szokujący wniosek?

Ano, okazuje się, że olimpiada pożarła inne, kto wie czy nie bardziej potrzebne Monachium przedsięwzięcia. Stolica Bawarii cierpi na brak przedszkoli i żłobków dla 30 tys. dzieci, w związku z budową obiektów sportowych „skreślono” z planów inwestycji społecznych Monachium wzniesienie 6 nowych szkół, wszystkie zamierzenia mające na celu ochronę środowiska człowieka, zaniechano budowy 2 szpitali i 9.150 mieszkań. Równocześnie konstrukcja i budowa samego dachu na stadionie pochłonęła 180 mln DM. „Bagatelkę” — 40 milionów marek kosztował hippodrom i stajnie dla koni, które wyposażono w klimatyzację, automatyczne karmniki i pojniki, tor kolarski wykładany jest specjalnym rodzajem drewna spróchniałego z Kamerunu, cała obsługa olimpiady — technicy-hostry, porządkowcy, ba — nawet ogrodnicy otrzymują po 2 uniformy, każdy w cenie 50 DM. Już obliczono, że dotychczasowe wydatki na urządzenie XX Igrzysk Olimpijskich zbliżają się szybko do granicy 2 miliardów DM. Kiedy czytałem ten artykuł, jakoś bezwiednie przypomniała mi się uwaga, którą zanotowałem w swoich pamiętkach nikt inny, tylko „konstruktor” berlińskiej olimpiady z 1936 roku — Albert Speer. Tak relacjonuje on swoją rozmowę z Hitlerem po zakończeniu tamtych igrzysk: „Fuehrer rozkazał mi wybudować nowy, gigantyczny stadion na 400 tys. miejsc. Zaprotekowałem, mówiąc, że taki stadion nie mógłby mieć przepisowych, olimpijskich wymiarów. Mniejsza o to — powiedział Hitler — w roku 1940 igrzyska olimpijskie mają się odbyć w Tokio. Ale każde następne będą się odbywać w Niemczech, na tym stadionie! I wtedy my będziemy określać rozmiary obiektów sportowych”.

Na szczęście dla świata i ludzkości, a także dla olimpiad, słowa te nie sprawdziły się.

Willy Daume — szef zachodniemieckiego sportu uważa, że na XX Igrzyskach, ci, którzy przybędą do Monachium, zobaczą twarz nowych, innych Niemców. Nadjęzł mistrz Monachium — dr Vogel, odpierając zarzuty o zbytnią hojność, powiedział, że olimpiada to najcenniejszy prezent, jaki NRF zamierza wręczyć światu.

Wierzę w te dwie wypowiedzi.

Ale przede wszystkim chciałbym wierzyć w te pierwszą.

KRYSZTOF POGORZELEC

Monachium: godzina zero

nia: średnia płaca bardzo wysoko wykwalifikowanego robotnika, a nawet technika kształtowała się tutaj w roku 1971 na poziomie 1000 DM.

Kiedy patrzy się z góry widać wyraźnie nieregularne zarysy owego „cudu” sportowego budownictwa: myślę tutaj o dachu pokrywającym znaczną część centralnego stadionu. Bagatelka — 78.400 metrów kwadratowych powierzchni! Wszystko to powleczone acrylonem, albo jak tutaj jeszcze chętniej mówią „acrylasem”, upiętym na potężnej średnicy linach, sięci o „oczka” 75 na 75 cm. To budzi podziw dla budowniczych i konstruktorów.

Olimpiada wtargnęła też w samo serce miasta. Weszła z łomotem buldożerów uzbrojonych w nowoczesną technikę i bezpardonowe koncepcje architektów, którzy dla osiągnięcia swoich urbanistycznych celów zmieili po drodze wszystko co im przeszkadzało. Zastanawiałem się, a to uczucie rodzi się chyba w każdym kto spogląda na przedolimpijskie Monachium, czy to budowlane delirium, które ogarnęło miasto nie burzy do reszty jego przecież historycznego kształtu, a człowiek brutalnością nowoczesnej techniki nie naruszy naturalnego piękna. Organizatorzy zapewniają, że temu właśnie problemowi poświęcono bardzo wiele troski i uwagi przy opracowaniu założeń wszystkich obiektów olimpijskich, a jednym z wyrazów tego dążenia była „kameralizacja” stadionów, budowlanych hal, torów i pływalni. Czy to się udało? Nie wszyscy są tego pewni.

W Monachium jest prawie „godzina zero”, niemal stan pełen gotowości. Za kilkadziesiąt dni na koronie stadionu

Urojony wypadek

Dalszy ciąg ze str. 3

ceństwa, więcej, jest z tym interesem w jaskrawej sprzeczności, rozstrzygnięcie losu tragicznie doświadczonych górników w sposób niezgodny z duchem naszego socjalistycznego poczucia prawa i sprawiedliwości. W interesie społecznym leży, aby Klarecki, który został kaleką w czasie wykonywania ciężkiej górniczej pracy, miał zapewnione niezbędne warunki bytu. W interesie społecznym leży, aby każdy człowiek pracy miał pewność, iż casus Klarecki nie powtórzy się”.

Tak pisała prasa w dziesięć lat po wypadku. Dziś mija trzynaste lat i nie się w tej materii nie zmieniło. Mieczysław Klarecki obstaje przy swoim, kopalnia przy swoim. Sady wszystkich in-

stancji. Iłącznie z Sądem Najwyższym, oddaliły roszczenia poszkodowanego górnika. Żądał on 180.000 złotych odszkodowania i podwyższenia dotychczasowej renty o 1000 złotych miesięcznie. Jest człowiekiem upartym i cierpliwym, nie rezygnuje łatwo ze swych praw. Już trzynasty rok szuka sprawiedliwości i w miarę swych skromnych sił i zdrowia kolacze do wszystkich instytucji i urzędów, instancji i organizacji zawodowych i społecznych.

Jego przypadek dowodzi dwóch rzeczy na raz i to nawzajem się wykluczających. Jeśli zdarzył się naprawdę, wówczas jest ilustracją totalnej znieczulicy,

bezduszności i biurokracji i to na każdym szczeblu społecznej machiny, od dołu do góry. Jeśli gdzieś na samym dole (w rzeczywistości i w przenośni) człowiek uległ wypadkowi i skrzywdzono go, nawet najwyższa „górra” nie jest w stanie mu pomóc. Na swe liczne skargi i zażalenia Klarecki otrzymuje równie liczne odpowiedzi, które są z reguły indyferentne w formie i treści: „W toku wnikliwego i skrupulatnego postępowania sądowego nie zostały potwierdzone twierdzenia Obywatela o wypadku przy pracy”.

Jeśli natomiast wypadku nie było i jest on tylko tworem wyobraźni sprytnego, choć nieszczęśliwego człowieka, który chce wyłudzić większą gotówkę z państwowej kasy, wtedy ilustruje on łatwość, z jaką można w naszym kraju dotrzeć do najwyższych władz z osobistą sprawą. W gruncie rzeczy przed obywatelami, któremu wyrządzono krzywdę, stoją otworem drzwi wszystkich urzędów i instytucji,

instancji i organizacji. Każdy z nas ma możliwość dostarcia do najwyższych dostojników państwowych, aby osobiście przedstawić i wysłuszyć swoje racje, żale, pretensje i postulaty. Dziesiątki specjalnych biur zajmuje się tylko wysłuchiwaniami skarg i zażaleń obywateli, setki ludzi trudni się ich zalatwianiem. Nie sposób sobie wyobrazić, żeby przez gęstą sieć pomocy przedostała się choć jedna większa ludzka krzywda.

W tej sytuacji trudno dać wiarę temu, ażeby górnik, który stał się ofiarą wypadku w kopalni, stał się równocześnie ofiarą sądowych pomyłek i całymi latami dopraszał się laski państwowej administracji. Po trzynastu latach wędrowki i kolanania do różnych wysokich urzędów, Klarecki trafił również i do naszej redakcji. Jest to rzeczywistość ruina człowieka, ma niedowład nóg i uraz kręgosłupa, porusza się o kulach. Odszedł, którą przedstawił, jest wstrząsająca. Wszystko przeciwko niemu. W jego

wersji wygląda to następująco:

„Do pracy w kopalni zwerbowałem mnie w 1959 roku jako zdrowego, silnego i z zapalem do pracy. Miałem 38 lat i byłem zdrow jak ryba, pracowałem po dwie zmiany, gdyż oddział nasz zawsze nie wykonywał planu. 4 grudnia na Barburki, jako nowicjuszowi w górnictwie, wręczono mi na akademii nagrodę pieniężną i dyplom uznania oraz publiczne mianowanie z uczniami na samodzielniego mistrza do budowania tam wentylacyjnych, tam chodnikowych i tam zamulokowych. Lecz ta radość, ten awans i nadzieja trwały krótko, bo w 5 dni później na rannej zmianie spotkał mnie tragiczny wypadek. Około godziny 10 przenosiłem akurat stemple okrągłaki, deski i cement na przebudowę tamy wentylacyjnej na chodniku przejściowym. I gdy przenosiłem ostatni stempel okrągłak sosny, bardzo mokry i ciężki długości 8 metrów, zaważdziałem o strop końcem i cały ciężar runął na mnie. Straciłem przytomność, lecz uratował mnie strygar, Antoni Girimek, który siedł na kontroli mojej

pracy i zauważył, że leżę nieprzytomny. Udzielił mi pierwszej pomocy, wezwał sanitariusza z noszami i wynieśli mnie na wierzch do izby chorych, gdzie oddali w ręce lekarza, Jana Jeża. Przez 27 miesięcy wędrowałem po różnych szpitalach, a jak w końcu wyszedłem na dobre, to nie miałem gdzie zamieszkać. Zona z dziećmi mnie opuściła, sprzedała mieszkanie i wyjechała do Łodzi. Z Domu Górnik w Rudzie Śląskiej, gdzie ostatnio mieszkalem, wymeldowano mnie do nikąd, rzeczy moje przepały. Do tej pory ich nie odzyskałem. Później kupiłem sobie wózek inwalidzki, który trzymałem w szopie, ale pewnego razu szopa spłonęła, a wózek razem z nią. Ale to nie wszystko, żona wystąpiła o alimenty, i przysądcono mi dwieście złotych miesięcznie”.

Tyle sam poszkodowany. Jeśli chodzi o mnie, to mogę tylko dodać, że w 1969 roku ZUS w Łodzi wstrzymał nieszczęśliwemu wypłatę renty. Widocznie dlatego, żeby nie sądził on, iż od tej pory jego życie będzie

PREZENTACJE

Nie będzie przesady w twierdzeniu, że każdy Łódzianin słyszał o wielu sukcesach zagranicznych zespołu tanecznego „Harnama”. Ale znacznie mniej Łódzian widziało występy tego, bądź co bądź, łódzkiego zespołu, choć wszyscy wiedzą, że istnieje on przy Zakładowym Domu Kultury ZPB im. Szymona Harnama. Założony został przez kierowniczkę tej placówki – Marię Szkudlarek.

— Od jak dawna kieruje Pani działalnością harnamowskiego domu kultury?

— Od samego początku, to jest od 4 września 1945 roku. Dowiedziałam się wówczas od koleżanek, że przy zakładach bawelnianych, które nie nosiły jeszcze imienia Szymona Harnama, jest do objęcia etat kierowniczkę świetlicy.

— Czyba wtedy nie przypuszczała Pani, że w waszej placówce powstanie zespół, który będzie znany niemal na całym świecie?

— Oczywiście, że nie. Zajmowaliśmy się wtedy czymś innym. Trzeba było pomagać pracującym matkom, zajmując się ich dziećmi. Trzeba było też likwidować analfabetyzm, organizować kursy do kształcenia, kompletować książki w bibliotece. Dopiero trochę później zaczęliśmy myśleć o zespołach artystycznych.

— I wówczas powstał zespół tańca?

— Niezupełnie, bo najpierw powstał chór, zespół kukielkowy i teatralny. Ten ostatni okazał się najbardziej żywotny. W krótkim czasie przygotowano sztukę Heijermansa „Nadzieja”, a później „Matkę” Maksyma Gorkiego. W obydwu tych inscenizacjach wprowadzono wstawki taneczne, wykonywane przez dziewczęta. To był właściwie początek późniejszego zespołu tanecznego. Był to 1947 rok. Pomyślałam wówczas, że byłoby dobrze mieć taki zespół na stałe.

— I wtedy zespół taneczny wyodrębnił się z teatralnego?

— Tak. Udało mi się pozyskać do współpracy panią Jadwigę Hryniewiecką, która do dziś jest kierownikiem artystycznym i choreografem „Harnama”. Ale ciągle był to jeszcze zespół dziewczęcy. W 1949 roku zaproszono nas na występ do Pragi, a po powrocie postanowiliśmy, żeby do zespołu wprowadzić także chłopców. Ponieważ nie było to takie proste, Jadwiga Hryniewiecka zaproponowała, aby każda z dziewcząt przyprowadziła na próbę jednego chłopca.

— Czy od początku w programie były tańce ludowe?

— Tak i do dziś dnia jesteśmy wierni temu repertuarowi.

— „Harnam” był więc jednym z pierwszych zespołów, który zainteresował się polskimi tańcami ludowymi, nie było jeszcze przecież ani „Mazowsza”, ani „Śląska”. A i później, kiedy te zespoły powstały, „Harnam” — jak to podkreślają zagraniczni recenzenci — potrafił zachować swoją oryginalność i odrębność. Czy zechciałaby Pani zdradzić receptę na sukces?

— Nie wiem, czy to można nazwać receptą. Jest to po prostu wynik koncepcji, jaką przyjęliśmy w naszej pracy. Oficjalnie zespół nazywa się w pełnym brzmieniu: Reprezentacyjnym Zespołem Tańca Związku Zawodowego Włóknarzy przy ZPB im. Sz. Harnama w Łodzi, ale w rzeczywistości jest nierozdzielnie związany z naszym Domem Kultury.

— Na czym ten związek polega?

— W przeciwieństwie do innych zespołów, my nie przyjmujemy kondydatów, tylko wychowujemy ich od dziecka. Dzieci zdradzające uzdolnienia taneczne przyjmujemy do grupy siedmiolatków, później te, które utrzymują się, przechodzą do grupy starszej, później do młodzieżowej. Najzdolniejsi idą do grupy przygotowawczej i dopiero stąd do zespołu reprezentacyjnego. Instruktorzy prowadzą zespoły dziecięce, to także nasi wychowankowie.

— Czy rozgłos, jakim cieszy się Zespół Taneczny im. Harnama, nie przysłałby pozostałej działalności Domu Kultury?

— Jeśli pani powiem, że zespół liczy 50 osób, a w całym Domu Kultury, we wszystkich sekcjach i kółkach zainteresowań uczestniczy tysiąc osób, to będzie to chyba odpowiedź na pani pytanie.

— Kim są uczestnicy zajęć?

— Przede wszystkim dzieci i młodzież, a także renciści. Nasi dorośli pracownicy nie zawsze mają czas na zajęcia w Domu Kultury, przechodzą natomiast tłumnie i uroczyście na popisy swych pociech. Od początku zresztą postawiliśmy na pracę z młodzieżą i rozbudzenie jej kulturalnych zainteresowań. Uważamy, że jeśli uda się rozbudzić te zainteresowania u dzieci i młodzieży, to później znajdą zawsze czas,

aby je pogłębiać w innej formie i innych warunkach.

— Z tego, co Pani mówi, wynika, że Pani praca w Zakładowym Domu Kultury nie była tylko dziełem przypadku, bo akurat było wolne miejsce w świetlicy.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Bo domyślałam się, że ta praca daje Pani dużo zadowolenia, chociaż jest na pewno trudna i pozornie mało efektywna. Zresztą w trakcie naszej rozmowy przychodziło tu wiele osób i wszyscy,

pretensję, że więcej czasu poświęcam obcym dzieciom, niż własnym. Ale nie wyobrażam sobie działacza kulturalnego, który mógłby pracować, powiedzmy od godziny 8 do 16. Ja mam do czynienia nie z papierkami, a z człowiekiem, z dzieckiem. Właściwie nie muszę być na każdym zajęciu. Ale przecież trzeba się dowiedzieć, dlaczego jakieś dziecko nie przyszło, trzeba czasem nawiązać kontakt z rodzicami, trzeba po prostu wszystkich dobrze znać. Mnie zadowolenie daje nie tyle sama praca, co świadomość,

— No, chyba tak. I żeby pani już była absolutnie przekonana o swojej racji, to dodam, że jeszcze przed wojną, ucząc się w gimnazjum, pracowałam jednocześnie w świetlicy dla biednych dzieci. A już w czasie pracy w Domu Kultury skończyłam studia historyczne i przez jakiś czas zastanawiałam się nawet, czy nie poświęcić się pracy pedagogicznej. Ale trudno byłoby mi stąd odejść.

— My tu mówimy — Dom Kultury — a przecież w waszym wypadku jest to raczej symbol. Te kilka pokoiów zajmowanych w budynku administracyjnym, nawet przy bardzo dobrej woli, trudno nazwać domem kultury. Czy Pani nie marzy o takim budynku z prawdziwego zdarzenia?

— Jeszcze jak. Ale w tej chwili pogodziłam się już z myślą, że przedemerytuję się, a potem, jeżeli dopracuję się emerytury, niż przeprowadzi do takiego, prawdziwego domu kultury. Tyle już słyszałam obietnic. A u nas naprawdę trudno pracować i trudno nawet zmieścić się w czasie. Często, aby zorganizować jakieś spotkanie, czy odczyt, trzeba zrezygnować z zajęć którejś sekcji czy kółka zainteresowań. No, a czy naszemu zespołowi, który w tym roku będzie już obchodził swoje 25-lecie, nie przydałaby się własna scena?

— Przydałaby się na pewno. Łódzianie wreszcie mieliby gdzie oglądać „Harnamowców”, których, prawdę mówiąc, nie bardzo znają.

— Nawet nie wszyscy pracownicy Harnama mieli okazję ich obejrzeć. Żeby zespół mógł wystąpić przed zalogą, musimy wykupować salę w Teatrze Wielkim lub Muzycznym. A i tak ilość miejsc jest znikoma w stosunku do wielkości zalogi.

— Czasem zdarza się słyszeć opinie ludzi, którzy nie zdając sobie sprawy z trudności i kłopotów, z jakim spotyka się na co dzień działacz kultury, traktują ich pracę z pewnym pobażaniem.

— Zdarzało mi się zetknąć z takim stosunkiem do naszej pracy. Gościłiśmy ludzi sztuki, którzy w pierwszej chwili dziwili się, jak w ogóle można poważnie traktować pracę w domu kultury, ale później, kiedy ją bliżej poznali, zmienili swój stosunek i oferowali nawet swoją pomoc.

— Co, Pani zdaniem, warunkuje powodzenie w pracy działacza kultury. Duże umiejętności organizacyjne?

— Na pewno tak, ale potrzebny jest także takt i umiejętność współzycia z ludźmi. Bardzo ważna rzecz, to mieć serce do tej pracy, trzeba ją bardzo lubić i ja bym powiedziała, że trzeba być nawet trochę maniakiem. Zresztą, jeśli pracuje się z dziećmi i młodzieżą, to i człowiek staje się jakby młodszym. Wie pani? To jest praca szczególnie chyba dobra dla kobiety. Nie czuje się lat.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

MARIA SZKUDLAREK



bez względu na płeć i wiek, zwracali się do Pani per „pani Mario”.

— Muszę pani powiedzieć, że nawet siedmiolatki tak do mnie mówią.

— No, właśnie. A poza tym większość czasu spędza Pani w Domu Kultury. Tak postępują zazwyczaj ludzie, którym praca daje satysfakcję.

— Chyba ma pani rację, bo nawet moje córki mają do mnie

że mogę wiele zrobić pomagając innym. Czasem aż się sama dziwię, bo przychodzi do mnie ludzie z bardzo osobistymi kłopotami. I chociaż czasami mam wątpliwości, czy dobrze robię, że tak długo tutaj siedzę, to świadomość, że mogę innym w czymś pomóc, przekonuje mnie, że chyba dobrze robię. I to mi daje najwięcej zadowolenia.

— A więc miałam rację mówiąc, że Pani praca tutaj nie była dziełem przypadku.

dzie się ślalo po różach. Po prostu petent nie zgłosił się na kontrolne badanie lekarskie, więc nie wnioskując w szczególności, rentę wstrzymano. Nie zgłosił się zaś, ponieważ w ogóle ten człowiek porusza się z dużą trudnością. I obowiązkiem ZUS było wysłać lekarza do pacjenta. Sprawa oparła się o Okręgowy Sąd Ubezpieczeń Społecznych i po 5 miesiącach mitręgi niedołężnemu inwalidzie prawo do renty ponownie przyznano. Jak przeżył i przeważała ten okres, pozostanie na zawsze jego tajemnicą.

Gdy się słucha i patrzy na tego człowieka, to rzeczywiście trudno oprzeć się wrażeniu, że sprzyściły się przeciwko niemu wszystkie zły moce. Kopalnia, która zaskarżyła o wysokie odszkodowanie oczywiście odmówiła uznania jego roszczeń. Sprawa w sądzie odbyła się dopiero osiem lat po wypadku, więc nielato mu było dowieść po tylu latach swej racji, albowiem wiele dokumentów od tego czasu zniknęło, a z kolei całe zda-

wienie zatarło się już w ludzkiej pamięci. Wszyscy świadkowie, których Klarecki powołał, zeznali przed sądem, że nie pamiętają takiego wypadku. Nie przypominają sobie, ażeby 9 grudnia 1959 roku któryś z nich ekspediował rannego do izby chorych. Nie ma również na ten temat żadnych dokumentów w izbie chorych, zresztą samej izby chorych również nie ma, została zlikwidowana.

Kierownictwo kopalni uznaje co prawda, że Mieczysław Klarecki został przyjęty 9 grudnia 1959 roku na izbę chorych, lecz wówczas nie poinformował o wypadku.

Muszę przyznać, że zadaniem sobie dość szczytowo trud i odnalazłem owego szygara Antoniego Girmika, który miał udzielić pierwszej pomocy Klareckiemu. Girmik jest już od kilku lat na rencie i właściwie bez żadnej obawy mógłby potwierdzić, że Klarecki na

jego właśnie zmianie uległ wypadkowi.

— Nie przypominam sobie, żeby się u mnie coś takiego zdarzyło — oświadczył stary górnik. — Chętnie bym chłopu pomógł, ale przecież nie będę przed sądem kłamał. Żadnego wypadku wtedy nie było. Jako szygar musiałbym wypisać przeciwie kartkę, gdyż bez mego zezwolenia by go nie wywieźli na górę. A ja żadnej przepustki wtedy nie wypisywałem. Szkoda mi człowieka, ale nic na to nie poradzę.

Naczelnym Dyrektorem kopalni „Walenty-Wawel”:

„Dajcie drobny dowód, cień dowodu, że Klarecki stracił zdrowie w naszej kopalni, a natychmiast mu wypłacimy odszkodowanie i to bez sprawy w sądzie. Na słowo honoru nie możemy jednak dać odszkodowania”.

Pierwsze orzeczenie lekarskie po przyjęciu Klareckiego na izbę chorych brzmiało: „Zapalenie mięśni łąkowych”. Wszystkie następne orzeczenia le-

karskie również dają do zrozumienia, że zwyrodnienie kręgosłupa u pacjenta nastąpiło samistnie, w każdym bądź razie nie wskutek urazu.

Konkluzja Sądu Najwyższego: „Inwalidztwo Mieczysława Klareckiego nie jest następstwem wypadku przy pracy”.

Czyby ten człowiek faktycznie uroił sobie wypadek? Przez tyle lat tak uporczywie obstawał przy złudzeniach? Warto zapytać, jakimi dowodami on dysponuje. Właściwie jedynym dowodem jest on sam, człowiek, który ledwo się porusza. Powiedzmy, że kręgosłup mógł mu zwyrodnienie samistnie, lecz w jaki sposób stracił władzę w nogach? Dlaczego amputowano mu część stopy? A może Klarecki jest rzeczywiście scenografem i równocześnie reżyserem tego ponurego filmu pod tytułem: wypadek w kopalni. Czyżby z nudów angażował wszystkie krajo-we biura skarg i zażaleń?

W celu wyeliminowania określonych sugestii pragnę

nadmienić, że psychiatrzy nie znaleźli u pacjenta żadnych schorzeń z zakresu swej specjalności.

Casus Klarecki pozostawał dla mnie zagadką przez wiele tygodni. W końcu trafiłem do szpitala w Łasku, gdzie w dokumentach znajduje się adnotacja: „Mieczysław Klarecki zgnił stopę lewą w wypadku motocyklowym. Przywieziony przez pogotowie dnia 7. V. 1961 r”.

Jest całkiem prawdopodobne, że ten wypadek z szosy usiłuje on bezskutecznie przenieść do kopalni. Nasz bohater indagowany w tej sprawie przyznał, że owszem, miał wypadek w domu, spadł z wózka inwalidzkiego i pogotowie zabrało go do szpitala w Łasku. Twierdzi jednak, że to widocznie sanitariusz nie odróżnił wózka inwalidzkiego od motocykla.

Zastanawiające jest jednak rozpoznanie neurologa,

który wówczas Klareckiego w szpitalu w Łasku badał. Neurolog stwierdził: „Pozostałość po urazie kręgosłupa i ewentualnym zakrzepie”.

Czas w tej sprawie biegnie nieubłagannie i zacierają wszelkie ślady po wypadku. Nie wiem, czy to dobrze dla Klareckiego, czy źle. Coraz trudniej udowodnić, że wypadek się zdarzył, nielato też udowodnić, że się nie zdarzył.

Odnótowałem zaś tę historię z myślą o ludziach, którym wydaje się, że wszystkie sprawy na tym świecie są jasne, sytuacje jednoznaczne, a rozwiązania proste. Wątpię, czy ktoś jest w stanie pomóc Klareckiemu. Fatalny zbieg okoliczności spowodował, że człowiek ten znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Ale nie oznacza to chyba, że człowieka bardzo nieszczęśliwego, tragicznie dotkniętego przez los, społeczeństwo zwalnia z obowiązku uczciwości.

KAROL BADZIAK

Prezentujemy wybrane wiersze laureatów Konkursu A (autorzy po debiucie książkowym) tegorocznego VII Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

FELIKS RAJCZAK

Pieśń z nawy

Z cyklu „Pieśni przydrożne”

(II NAGRODA W KONKURSIE A)

Ma ci co wyszli z nor i zza stert
Są dziś u steru
I widzą przyszłość
Jaśniej niż ledwie idący jaśnie
Panowie na swój ostatni żer
Patrzę jak płynie nawa
Z jej dna
Wypływa moja pieśń o sternikach
Mijamy wyspy białe
Dlaczego
Nie żal mi jutra co płynie wplaw



Wyżebrana moja mąka
Biała męka
Gdy żebraczy kij się jąka
i przykleka

Wyciągniętą w dobro rękę
Wiatr odtrąca
Jak ofiarowaną księgę
Kamień słońca



O, były niegdyś piękne żniwa
I hojne zbiory i pogoda
Samotność miedzą za horyzont
Odprowadzała pani młoda

I już po żniwach ciemno w domu
Bo dzień i noc i mgły i szaruga
I pani młoda postarzała
Jak świeca co ma zgasnąć mruga



Zakreślona dłonią dał
Opodał mnie się zapada
Nie ma wiatru ani ran
Ziemia którą pełźnie zdrada

Wyrównane są ambicje
Na nizinach, Hamlet śpi.
Wschodzi dzień i wszystkie drzwi
Otwarte — —
Strużka krwi
Przez próg przecieka...

JÓZEF OLSZEWSKI

Imię

(II NAGRODA W KONKURSIE A)

Czemu ono
ze śmiechem się mówi?
— czemu wysycha i śący się
w żadnym związku ze składnią i nigdzie?
Czemu kamienie są po nim suche i czyste —
czemu porywa je wiatr bramą i lasem
— przez drzewa w czasie słyszenia
przez ogrody i sady ogniste?



HENRYK HARTENBERG

Zostałem z nią aż do rana

...aby nie powróciło z tego dołu
popiołów, śmierci.

SALVATORE QUASIMODO

Nie mogłem oderwać oczu. Podobna do pięknego marmuru, w którym przedni mistrz wyrzeźbił Początek Rzeczy, leżała rozpięta na parującej i tłustej ziemi — jak na dobrotliwym krzyżu — a nad nią przewalał się strumień błękitnego powietrza i wielki płomień słońca.

Pod głową jaśniały róże z topazów, hiacynty, lilie wyrosłe z bursztynu i narcyzy przyniesione wiatrem.

Smagle jej biodra nagrzane dotykami szaławii, liści i polnych ziół — ginęły w pomroce wysokiej trawy.

Nogi ciosane z brązu — pijany Pan obłożył ciemną porzeczką, czerwonym rumiankiem, pokrzywą, łopianem i wyschniętymi korzeniami mięty, a każdy palec — prześwietlony barwami szczęśliwego wieczoru — okrył wilgotnymi płatkami świeżo ściętych kwiatów, nad którymi płynęło babie lato, tworząc warkocz sięgający dalekiej krainy wydm.

Tylko piersi — zwilżone oddechem pszczoł i motyli szukających słodkiego pokarmu — znaczyły kulistość życia i zatracenia — znaczyły krwistość widnokregu, do którego dążymy beznadziejnie.

Tak minął upalny dzień.

O skwarnym zmierzchu, nienasycony promień zstępujący z nieba, rozłupał dojrzałą śliwę, z której miąższa miarowo — kropla po kropli — spływała w spulchnioną ziemię gęsta czerwien soku.

Jutro — obok Niej — wykwitło drzewo cyprysowe, a na jego gałęziach — trzy synogarlice milcząco opiewały Brzask Rzeczy.

Potem niebo runęło w ocean krwi, zatapiając miasta i rzeki. Pozostała tylko czarna równina i popiół sypiący się z gardła pieca.

Tak ale to już historia odczłowieczenia, ropiejących ran, kołczastego drutu i popiołu.

Pełen troski, odchodziłem daleko — nawet jeszcze dalej — aż do Rzeki Dymiącej.

Przymykam oczy — one tak boją... tak boją...

Powraca obraz Madonny: „Podobna do niemego marmuru, w którym przedni mistrz wyrzeźbił Początek Rzeczy, leżała rozpięta na parującej ziemi, jak na dobrotliwym krzyżu”.

Tak — to było już bardzo dawno.

Pozostała tylko czarna równina... I... Ona...

Czy odżyje „w czas owocowania?”

Ręce

Wzywałem ją krzykiem szaleńca, opętanego niepowtarzalnym widzeniem. Wzywałem ją o północy, kiedy księżyc zstępował z białych domów — podobnych do widm — przykucniętych na pustej drodze, kiedy niebo pękało pod ciężarem gwiazd, a noc gęstniała w moczarach krwi.

Byłem przepelniony tęsknotą tak wielką — jak wielka jest cisza błądząca w starym, opuszczonym domu, jak wielkie jest milczenie schodzące z wysokiego nieba.

I przyszła...

Wszystkimi zmysłami przenikałem ściany dzielące nas od siebie, słyszałem jej przyspieszony oddech; widziałem jej wielkie, gorące oczy wpatrzone w mrok i gorącą dłoń dotykającą drzwi...

I poczułem nagle powiew wilgotnej trawy, dalekiego lasu, strumyka płynącego opodał. Poczułem wielkie pragnienie wyschniętej ziemi, rozdartej piorunem. Poczułem jak powietrze nagrzewa się ciałem wszystkich zaczarowanych ptaków, ukrytych w środku nocy, ptaków znaczących linię kwitnienia i rozpadu, znaczących drogę stawania się i odejścia.

Długa była przestrzeń prowadząca od otwartych drzwi do umierającego z rozpacz — młodzieńca. Przechodził wypełniona gwiazdnym pyłem, lękiem poznania i popiołem spalonych słońc...

Wtedy czas przestał istnieć...

Tylko wisząca pod sufitem kopcilka, rzucająca fantastyczne cienie na zmurszałe ściany, tylko jęk umierającej — za białą kotarą — staruszki świadczyły o tym, że świat jeszcze istnieje, że świat jeszcze trwa...

A potem RĘCE rzeźbiły już czas ładu, harmonii i zatracenia.

A potem płonące czoła pochylały się nad ciemną wodę poznania, a wargi poszukiwały ziarna owocu, chłodu, kamienia i smaku gałązki oliwnej...



A potem kopcilka przestała już rzucać cienie...
Tylko jęk staruszki nie ustawał —
Tylko oddech odpływał ciemnymi kanałami snu —
Tylko RĘCE rzeźbiły czas ładu — harmonii
i zatracenia —

Kiedy cisza obejmuje świat

Bezszelestnie, w strumieniu gorących kolorów rośnie obszar Cisy. Obejmuje białe pola ginące na granicy ludzkiego spojrzenia, sięga rozpalonej ziemi, wchodzi w zaułki zatopionego miasta, budzi zielone jaszczurki ukryte w pęknięciach ścian, słucha ziarna nabrzmiałego słońcem i wilgocią dojrzewającego o północy.

A potem zbliża się do naszych oczu, czerwony trójkąt nieba, dotyka kory drzew i zagłada do pokoju, ukrytego za zwiewną firanką.

W czas wieczornego cienia, kiedy zapalają się ogniki na niebie, siada obok nas, jak ktoś bardzo bliski i kochany i cicho najciszej opowiada o uroku i niepokojach życia, o miłości, o oczekiwaniu...

Jak w potrójnym śnie dochodzi do nas jego szept o tym, że przestrzeń jest nieuchwytna, daleka i złudna, że doskonałość i ułomność połączone ze sobą (jak Ty i ja), że drzewa jak ludzie wrastają w czas, i dlatego tak szumią, tak szumią wieczście...

I o tym jeszcze, że czarna ziemia rodzi złoty kłos, że pamięć jest silniejsza od wyobraźni, że emanuje z Ciebie wielki spokój i bezgraniczne dobro.

O, wtedy nadzieja „dzwoni krawędzią zmroku” i w małym pokoju zbierają się barwy uśmiechu jak barwy tęczy.

Potem usypiasz, a biały ptak krąży nad Twoim czołem jak „gwiazda serdeczna”.

Bezszelestnie rośnie obszar Cisy. Obejmuje wszystkie drogi świata, przynosi echo dalekiej pamięci, przynosi czas zgłodniałych ulic otwartych miast i domów strzeżonych nienawiścią. Czas zela, wystrzałów, krwi i tryumfujących Nadziei.

Więc nie uciekajmy od błysku Cisy, nie odbierajmy Jej ciepła dotyku, nie unikajmy Jej milczącego drżenia.

W niej znajdziemy źródło poznania, w niej kształt miłości i narodzin, w niej czas stawania się i trwania.

O, ta Ciska ścierająca zmarszczki z twarzy i dająca złudzenie...



ZYCIORYS

Władysław Krycki napisał swój zyciorys, a Wydawnictwo Łódzkie opublikowało go w niewielkiej, lecz zajmującej książeczce. Bo też zyciorys Kryckiego jest niebanalny i napisany z gawędziarskim nerwem. Dadzą się owe gawędy przyrównać do „Obrazów litewskich” Chodźki — napisane są z dużą kulturą i mówią o świecie odległym, a wiaściwie już umarłym.

Mało kto ogarnia dziś pamięć ostatnich dziesięcioleci przed pierwszą wojną światową i mało kto może o tych latach napisać tak żywe i barwne wspomnienia-opowieści. Władysław Krycki potrafił ów odeszły świat zamknąć w interesującej prozie.

Autor miał życie ciekawe — dziś mimo podeszłego wieku, także nie zrezygnował z czynnego w nim uczestnictwa. Mieszka w rodzinnych Siedlcach, do których wrócił po latach peregrynacji po świecie. Jest emerytem i żyje samotnie, ale z pełną zapalą oddaje się pracy społecznej i pisze. Nie tylko spisuje swoje barwne życie, ale na co dzień uczestniczy w sprawach tego świata jako korespondent „Trybuny Mazowieckiej”.

J. W.

Władysław Krycki „EJ ZYCIE, ZYCIE...” Wyd. Łódzkie, 1972.



ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

POEZJA MIĘDZYISTNIENIA

W ostatnio wydanej „Książeczce o człowieku” Roman Ingarden pisał, że „siła twórcza człowieka jest ograniczona. Nie jest zdolna stworzyć dzieł autonomicznych w swym istnieniu i niezależnych od naszej świadomości. Jest zbyt słaba, żeby rzeczywiście przetworzyć pierwotną naturę w rzeczywistość człowieka”. Sądzę, że poezja Romana Łobody doskonale ilustruje ów wieczny dramat zmagania się człowieka z pierwotną naturą, dramat istnienia między ideą a rzeczywistością. Antropologiczny wymiar tej poezji świadczy o ambicjach ogarniających całą osobowość człowieka, w tym przypadku owo międzyistnienie — był między stanem zwierzęcym, pierwotnym a projekcją człowieka. Już Marian Piechal z okazji debiutu poetyckiego Łobody („VI smak” 1959) pisał, że poeetę zajmują nie tyle rzeczy, ile to co między nimi zachodzi. „Treścią poetycką tych wierszy jest zatem śledzenie przez autora wszelkich fenomenów tych stosunków między rzeczami, ich zmienności, ich narodzin i zaniku, a zarazem własnych reakcji na wszystkie możliwe przemienności, tych stosunków”. Jest więc to w swych założeniach poezja metafizyczna. Metafizyka międzyistnienia, które prawdopodobnie są najwłaściwszą formą ludzkiego bytu.

„Rzeźbienie horyzontu”^{*)}, najnowszy tom wierszy Łobody jest poniekąd retrospektywnym zbiorem, dającym możliwość czytelnikowi zorientowania się w metamorfozach wewnętrznych poety. Znajdziemy więc tu wiersze sprzed kilku i kilkunastu lat, niektóre opublikowane w zbiorach poprzednich, większość natomiast stanowią nowe. Szkoda tylko, że autor nie podzielił „Rzeźbienia horyzontu” na cykle tematyczne; tom wówczas zyskałby na klarowności. W tej sytuacji recenzent zmuszony jest do posegregowania tematycznego, wyodrębnienia zasadniczych członów światopoglądu poetyckiego Łobody. Nie znajdziemy w tym, ani w poprzednich tomikach wierszy nastrojowych, lirycznych obrazków, emerycznych wzruszeń. Poeta dąży nie tylko do opisywania nowych uczuć (podobno takowe nie istnieją), ale do ich maksymalizacji, uniwersa-

lizowania. Stąd też intelektualny charakter tej poezji, w przeważającej ilości wierszy zwężonej, oszczędnej w stosowaniu figur stylistycznych. Powiedziałbym nawet, że jest to poezja ponadto ascetyczna w środkach ekspresji językowej, przez co balansuje stale na granicy między prozą a

poezją, żyje w nieustannym zagrożeniu sprozaizowania. Jest to główny i bodaj jedyny, jaki dostrzegam, mankament warsztatu poetyckiego Łobody.

W tomie niniejszym wyróżnia się kilka zasadniczych, bardzo charakterystycznych dla tego poety wątków tematycznych, problemowych. Są więc wiersze o charakterze groteski, pisane w formie przypowieści, wiersze zaangażowane w istotne sprawy polityczno-społecznej współczesności, kilka erotyków oraz część wierszy utrzymanych w formie żartu językowego. Te ostatnie zajmują sporo miejsca w twórczości Łobody, który niezależnie (sądzę po danych ich powstania) od Mirona Białoszewskiego eksperymentował na cząstkach słownych, tworząc nową rzeczywistość językową. Zresztą najlepiej egzemplifikuje stanowisko łódzkiego poety wiersz „Zamek zwrotny”, będący poetycką polemiką z poezją autora „Młynów wzruszeń”. Język służy poecie do tropienia stanów pierwotnych, źródeł i jednocześnie analiza możliwości języka jest analizą w sensie dociekań etycznych. Widać tu wyraźny wpływ teorii informacji i jej przetransponowania na poetycką wypowiedź:

Od A do Z
układa
względnie wyodrębniony
systema niebieskie
na białej korze

Niezależnie od tych treści jawi się tu szerszy program poetycki, postulujący poezję jako sekcję i jednocześnie dyssekcję słownych znaczeń. Metoda ta wymaga jasnej, przejrzystej konstrukcji, określonego ciągu logicznego, żelaznej konsekwencji myślowej (por. wiersz „Splot”, kompozycją przypominający utwór muzyczny). W przeciwieństwie więc do Białoszewskiego, u którego rozpad formy równa się kryzysowi lub entropii dotychczas wypracowanych wartości, Łoboda postuluje ład, porządek nawet w procesie rozpadania, ażeby potem nadać mu odwrotny kierunek — kreacyjny, tworzący. W ten sposób wiersz nie jest opisem rzeczy, a ekwiwalentem procesu myślowego czy też zmian zachodzących w otoczeniu, przyrodzie. Wiersz jest procesem, stąd dynamiczność tej poezji. Wszystko się dzieje, rozpadając się staje, z starych, obumierających form wyłaniają się nowe.

Łoboda w „Rzeźbieniu horyzontu” poszerzył zakres swych poetyckich doświadczeń, do liryki swojej wprowadził wątki narracyjne, a raczej fabularne. Mam tu na myśli groteskowe przypowieści, z których jedna szczególnie przypadła mi do gustu, tak że pozwolił sobie zacytować ją w całości. Wiersz ten nosi tytuł „Jedność”:

Pewien błazen
gardząc błichtrem i złotem
zwyki mawiać
Kiedys gdy się zaśmieję
najgłośniej
pękne na części wiele
tyle ile fałszu jest wokół mego
pana

Tego błazna
zajęci szukaniem pochlebstw
doradcy pańscy
ujrzeli rozbitego jak czasza
w nieskromnym rozrzuceniu

Oto ten panie zakrzyknęli
który dążył do rozbicia jedności
naszej

Wiersz ów jest tak doskonałą aluzją do współczesnej rzeczywistości społecznej, że nie wymaga specjalnych komentarzy. Równocześnie stanowi typowy przykład wiersza-procesu. Słowo proces ma tu podwójne znaczenie: 1° jako akt nieustanny 2° proces jako dochodzenie w sensie moralnym, bądź filozoficznym.

Nowy tom wierszy Romana Łobody dostarcza bogatych wzruszeń intelektualnych, jest śmiałą próbą przeniesienia osiągnięć w zakresie cybernetyki na teren poezji i spełnia zadania współczesnej, ściśle — nowoczesnej sztuki, polegającej, jak to już stwierdził w swej „Filozofii historii sztuki” Arnold Hauser, że nielotny jest przedmiot, ani podmiot sam w sobie, tylko to, co między nimi zachodzi, na ile tworzy się nowa rzeczywistość. I mam nadzieję, że w tym przede wszystkim poeta będzie poszerzał obszar swych pracowitych, twórczych wzruszeń.

*) Roman Łoboda, RZEZBIENIE HORYZONTU, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972, s. 83, cena zł 10.—



Przeszłość i terażniejszość

O potrzebie przewyższenia europocentryzmu w poglądzie na dzieje powszechne mówi się w nauce historycznej od bardzo dawna. Jeszcze Wolter wskazywał na jego ograniczenia i domagał się od tych wszystkich, którzy zajmują się dziejami powszechnymi, wyjścia poza szerokie, ale przede wszystkim nie wystarczające — europocentrycznego punktu widzenia. Jeśli więc chodzi o formułowanie postulatów, mamy długą i piękną tradycję. Znacznie gorzej jest jednak z ich realizacją. W procesie przewyższenia przez historiografię tradycyjnego europocentryzmu doniosłą rolę odgrywa dziś wkroczenie do nauki historycznej coraz liczniejszych uczonych z krajów pozaeuropejskich, przede wszystkim z Azji i Afryki. W swoich dziełach, coraz częściej tłumaczonych na języki europejskie, w oparciu o niedo-

stępne Europejczykom materiały, proponują oni niejednokrotnie nowe spojrzenie na z dawaloby się z dawnymi znanymi procesy, realizując w badawczej praktyce ważne reorientacje sądów współczesnej historiografii. Takie też znaczenie posiada dla nas dziejopisarstwo wybitnego dyplomaty i historyka hinduskiego Kavalama Madhava Panikkara, autora wydanej u nas w 1965 roku przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe syntetycznej niedawno w tłumaczeniu polskim fascynującej monografii pt.: „Azja a dominacja Zachodu. Epoka Vasco da Gamy w dziejach Azji 1498—1945” (1972). Przedmiotem zainteresowania autora jest wielka epoka obejmująca czterysta pięćdziesiąt lat, a charakteryzująca się ekspansją różnych potęg europejskich w krajach Azji. „Zmiany, które ta epoka bezpośrednio wywołała, i si-

ły, jakie wywołała w krajach Azji, pozostających w kontakcie z Europą przez okres 450 lat, a przez ponad stulecie opanowanych przez dominację zachodnią — powiodła uczony hinduski — pociągnęły za sobą przeobrażenia, dotyczące w praktyce każdego przejawu życia w tych krajach”.

nych kupców. Była to... próba okrzęcenia przygniatącej potęgi lądowej islamu na Bliskim Wschodzie, próba uzupełniona pragnieniem wyrwania się z „więzienia Morza Śródziemnego”, zakreślającego granice energii Europejskiej. Europa popołudniowa XIX w., reprezentując „dynamiczną cywilizację

Zachodem nadaje chyba dawnym wydarzeniom sens, jaki zyskały o wiele później”, konkluduje Panikkar, przeciwstawiając się poglądom, reprezentowanym przez wielu uczonych europejskich.

Niechybnie rację ma autor polskiego słowa wstępnego do dzieła hinduskiego uczonego, Andrzej Bartnicki, że lektura tej książki jest pasjonująca, niezależnie od tego, że wywołuje wiele kontrowersyjnych uwag. A może właśnie jej kontrowersyjność sprawia, że czytamy ją z coraz większym zainteresowaniem? Niechybnie też śledząc myśli autora wnikliwy czytelnik dostrzeże w rozważaniach Panikkara pewne echa poglądów, głoszonych przez tradycyjną historiografię angielską. Zgodziłibyśmy się z Bartnickim, który podkreśla, że „na stosunek autora do dziejów brytyjskiego panowania w Indiach nie miały wpływu, jak się wydaje, studia Panikkara w Oxfordzie. Mimo, że był wówczas aktywnym działaczem Ligi Antyimperialistycznej,

w dużym stopniu kształtował się jako historyk pod wpływem literatury angielskiej”. Ślady tej naukowej formacji odnajdujemy dzisiaj na kartach jego książki. Podzielamy też zdanie, wypowiedziane przez polskiego historyka, że „żadne uwagi polemiczne nie mogą, kiedy bierzemy pod uwagę całą książkę i próbujemy dokonać jej ogólnej oceny, przesłonić faktu, że jest to pierwsza w światowej historiografii spraca obejmująca syntetyczny sposób problem kontaktów europejsko-azjatyckich w tak rozległym okresie historycznym”. Chociaż nasza myśl historyczna nie ma takich, jak zachodnioeuropejska, obciążeń kolonialnych, przecież na pewno bardzo często na problemy dziejów Azji czy Afryki spoglądaliśmy przez pryzmat poglądów, reprezentowanych przez historiografię krajów zachodnich; dzieła w rodzaju książki Panikkara pozwalają nam na istotną korektę naszego historycznego spojrzenia.

JOZEF GRZELAK

Spojrzenie na Azję

Oceny, prezentowane przez Panikkara, są częstokroć diametralnie przeciwne tym, do których przywykliśmy na kartach dzieł autorów europejskich. Mówiąc o początkach ekspansji Europy powiada on np., że „w rzeczywistości... nie była ona ani „pochodem cywilizacji”, jak tego chce Sansom, ani też teatrem kukiełek, kierowanych z za sceny rękami spryt-

cję w marszu” — „uderzyła w same podstawy porządku społeczeństw azjatyckich, narzucała im swą wolę, powodując w Azji przemiany społeczne i polityczne o zasadniczym znaczeniu. Ale do szukanie się w awanturnictwie kupieckim pierwszych trzech wieków kontaktu Europy z Azją wielkiej koncepcji epickiego konfliktu między Wschodem a



XVI Sesja Konferencji Generalnej UNESCO, obradująca w Paryżu w listopadzie 1970 roku, proklamowała rok 1972 Międzynarodowym Rokiem Książki. Problemy upowszechniania książki znajdowały się w centrum uwagi tej organizacji od pierwszych chwil jej istnienia. Jeden z punktów statutu UNESCO mówi o czuwaniu nad zachowaniem i ochroną światowej spuścizny literackiej.

Profesorowi Robertowi Escarpit, dyrektorowi Ośrodka Socjologii Literatury w Bordeaux, powierzono zbadanie sytuacji książki na świecie, a rezultaty jego pracy to publikacja pt. „Revolucja książki”, wydana również u nas. Wynika z niej wyraźnie, że największej pomocy w zakresie zwiększenia produkcji wydawnictw książkowych wymagają kraje rozwijające się. Zaledwie czwarta część książek ukazujących się co roku na świecie przypada na Azję, Afrykę i Amerykę, a przecież kontynenty te zamieszkuje 80 proc. całej ludności kuli ziemskiej. W Azji dużą rolę odgrywa utworzony w Japonii ośrodek rozpowszechniania czytelnictwa.

Raport dyrektora generalnego UNESCO kładzie nacisk na rozwinięcie produkcji książki w języku narodowym danego kraju i kształcenie kadr dla dziedzin związanych z wytwarzaniem książki. Wzywa również do podejmowania badań nad rolą książki w świecie współczesnym, do wymiany doświadczeń w zakresie produkcji i upowszechniania tanich książek w społeczeństwie, do umacniania znaczenia książki w nauce.

Raport zawiera także propozycje wspólnych akcji organizacji zawodowych i twórczych, od tak zasadniczych jak sformułowanie Międzynarodowej Karty Książki, po tak szczegółowe, jak normalizacja danych bibliograficznych. W tych ramach znalazły się też festiwale książek, ze szczególnym uwzględnieniem Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie, Frankfurtu i Nicei, zapoznanie z pracą instytucji związanych z książką poprzez akcję „otwartych drzwi” dla wszystkich interesujących się tą tematyką, wreszcie koordynacja poczynań wydawców i producentów filmów czy innych programów, których

To, co poniżej zostało zapisane, jest wierną relacją snu i niczym więcej. Wszelkie podobieństwo osób i sytuacji występujących w mojej relacji do osób i sytuacji, które, być może, istniały kiedyś w rzeczywistości jest zupełnie przypadkowe. Nie jest to również zachęmaczka dla niepoznaki w zwidyniewidy recenzja z żadnego filmu, spektaklu teatralnego, ani też z żadnej imprezy innej. Jest to jedynie reportaż z krainy snu, uladzony nieco. Wszelkie zbieżności z jawą są przypadkowe i nie a nie nie oznaczają.

Wezszym świtem, na długo przed wschodem słońca, przeprowiłem się płaskodenną psychówką przez rzekę, która o tej godzinie była jeno mlecznym oparem i cichym pluskiem leniwego nurtu. Wilgotna, lepka mgła klebiła nad rzeką, w rzecze, nad przybrzeżnymi łąkami zaczęły cierać kształty, tłumiając dźwięki i barwy. Lązem w tej mazi na oślep, przez mokną, bujną trawę podwilgłych pastwisk, kierując się instynktem raczej niż wzrokiem, węchem starego włośzczi, który nie raz wyprawiał się w jesienne, okrutne tumanem świty aby zaplować na rybę lub zwierza. Niosłem z sobą dobrą, przedwojenną dwururkę „Dianę” austriacką po ojcu jeszcze i miałem szczerą, prawdziwie szczerą ochotę ustrzelić co tu ranka, bo od dłuższego czasu doprawdy mi się nie szczęściło.

Szedłem sam. Od zeszłego roku polowałem bez psa. Mój wierny towarzyszy leśnych wypraw zginął śmiercią tragiczną, umarł, że tak powiem, na posterunku wypełniając do końca swój psio-myśliwski obowiązek. Opowiadano zresztą do tej pory przy ogniskach o tym, a zdania były, co do istoty rzeczy, podzielone, dzieląc tym samym gwarzących łowców na dwa wrogie obozy. Historia rzeczywiście była dosyć dziwaczna. Postrzelilem kaczkę nad szuwarami a ta, ostatkami sił, poszła w stronę jeziora a pies w wodę i za nią. W kaczce wielka do życia niechęć nagle widać powstała, bo choć żywa jeszcze nura dała w dół, w ton. Ale pies uciąć ją zdołał w ostatniej chwili, wżarł się w nią zębami i trzymał. Przez czas jakiś pies i ptak ranny, co śmierci zaprzagnął nagle, zmagali się ze sobą raz nad powierzchnią wody, to znowu w jej głębi, aż wreszcie nie wynurzyli się więcej, tylko koła coraz szersze, szersze rozchodziły się po tafli jeziora dochodząc do szuwarów, w których stałem bezsilny obserwując owo śmiertelne widowisko. Tak zginął mój pies i nie wiem

do tej pory, czy też kaczka była za ciężka, nad miarę wyrosnięta, czy też pies za wierny, za bardzo myśliwski. Faktem jest, że ton niezłębiona jeziora stała się wspólnym grobem łowcy i zwierzyny. Od tej pory wstrząśnięty tą okrutną tragedią sam sobie byłem i psem i myśliwym na przemian.

Wkrótce mgły zaczęły rzędnąć, coraz częściej na drodze stawały mi krzewy i małe drzewka, teren wznosił się powoli, wreszcie dotarłem do skraju lasu. Tu powietrze było czyste, tylko w dole, nad łąkami i rzeką leżał biały, gęsty tuman. Liściasty las stał cicho, zamarył w oczekiwaniu pierwszych promieni słońca, aby eksplodować oszalalym zgiełkiem obudzonych nagle ptasich głosów. Szedłem powoli, między drzewa, dalej i dalej, przejęty do głębi tym oczekiwaniem, nasłuchując pierwszego sygnału, pierwszego ptasiego trzela. Dotarłem wreszcie do jaru, z którego głębi szedł ku górze chłodny zapach gnijących liści i grzybów. Wzdłuż krawędzi snuła się ścieżka wąska, prowadząca do poręby, na której, jak mi mówiono, można o tej porze urządzić zasadzkę. Dróżka garbami biegła do przodu, podążałem za nią niespiesznie, zajęty bez reszty intelektualnym kłusownictwem, owym cudownym stanem twórczego rozkojarzenia, w którym umysł sprawny i świeży przebiegał w myślach jak w ulegalkach. Przepałem oczywiście ową chwilę przebudzenia. Znalazłem się nagle w samym środku świergotów, gwizdów, skrzeków, poświstywań, trzela. Las ożył i choć spoza gęstych drzew nie było nic widać, wiedziałem, że słońce mozolnie wspina się nad krawędź horyzontu.

Do czasu zacząłem odczuwać zmęczenie i zniechęcenie jeszcze jednym, nieudanym polowaniem. Nie wiedziałem jak długo idę, nie bardzo zdawałem sobie sprawę — dokąd. I nagle drzewa rozstały się jak kurtyna w teatrze i znalazłem się na skraju rozległej polanki. Widok, który ukazał się moim oczom, wprawił mnie w tak przemożne osłupienie, iż łatwo mogłem konkurować z żoną nieszczęsnego Lota. Oto przede mną, na polanie płońto kilkadziesiąt ognisk, za nimi, po drugiej stronie, stały w bezładzie kolorowe budy cygańskiego taboru, a pośród nich krzatali się jacyś ludzie. Inni na skraju polany, zajęci byli jakimiś czynnościami, lecz z tej odległości nie mogłem rozoznać, co robią. Nad polaną wisiał wielki, wybrzuszony wiatrem transparent z napisem: „Serdecznie witamy”. Zacząłem podchodzić bliżej, niepewny przyjęcia, jakie mnie czeka.

Nie danym mi było dnia tego zasnąć spokojnie. Wypadki potoczyły się teraz szybko, a każdy z nich dziwniejszy był od poprzedniego. Przekonałem się niebawem, iż ludzie kręcący się przy jarmarcznie wymalowanych wozach to nie Cyganie jacyś, lecz nasi, siermiężni, w ludowe stroje poprzebierani, w łowickie, krakowskie. Było też paru górali. Gdzienigdzie migaly ulańskie czaka Ci tylko, co wokół polany siedzieli, po cywilnemu, że tak powiem, byli. Niezwykła też praca ich pochłaniała. Majstrowali oni wielkie, krakowskie szopki, bogato je wyklejali, zdobili. A potem nagle któryś chwycił gotową szopkę, niósł śpiesznie na środek poręby, podpałał i wracał wyklejąc nową. Przekonałem się też wkrótce, że ogniska płonące bladym ogniem, to właśnie owe szopki. Daremnie jednak pytałem o celowość poczynań. Zbywano mnie gestem, lub plugawym słowem, lub frazesem o racjach wyższych.

Na koniec doszedłem do samych wozów i bud kolorowych. Była w tych ich pomalowaniach ludowość z kubicznymi formami pomieszana, pełno też było napisów w dziwnym języku angielskim. Przed jednym z stury, garbaty (u nas takich szka, wozów siedział człek nikczemnej postury, garbaty (u nas takich szka, kikutami nazywano), z kikutami nóg miał nóg ciałych. Na głowie, którą potrazał zapamiętała, miał kręzący z dzwonczkami, grał na ustnej harmonijce, ręce obie zajęte miał skrzypcami i smykłem, a kikutu nóg wybił rym na małych bebenkach. To jego granie przypominało upiorny taniec św. Wita, patrona paralityków. Rytm i melodia jednak wyraźnie były i odnawiałem w nich jakieś znajome echa dawno słyszanej muzyki. Spytałem człeka owego, jak może czynność tak różną w jedną harmonię połączyć. Zbył mnie przekleństwem hadkim dodając, że mu rytm psuje, starając się wniknąć w istotę jego sztuki, która jest nie dla mnie i do której nie dorosłem.

Blądząc więc i czując się intruzem w tej społeczności ludowo-ulańskiej, uderzony zostałem nagle napisem wielkim (też w obcym, angielskim języku), którego treść znaczyła mniej więcej to, iż miesi się tam Galeria Sztuki Najnowszej i Najnowocześniejszej Ze Wszystkich Najnowszych i Najnowocześniejszych Sztuk Czarnławy, żyłasty, niewielkiego wzrostu jegomość w doskonale skrojonym garniturze marenego biegł już do mnie w landscadach zapraszając, cudacznie, oplatając mnie swoją gręcznością — nie sposób się było oprzeć. Wprowadził mnie do sali wielkiej z betonową podłogą, na której leżały nagie

panie w polowie żywe, a w polowie atrapy. Kąt sali zakrywała kotara z ciężkiego czerwonego pluszu, wytartą po brzegach.

— To sztuka! — krzyknął jegomość.

— A za tą kotarą? — spytałem.

— To nic, nic — odparł mój przewodnik. — To, wie pan, trudności lokalowe mamy. Ale niechże pan rzuci okiem, kompozycja w czasie i przestrzeni...

— A tu mamy protest przeciw wojnie — chwycił mnie za rękę i podprowadził do szynkwasu obitego białą, w którym stały trzy dziewczyny w strojach też ludowych, lecz skąpszych.

— Panie pozwól — rzekł. Dziewczyny podały nam dwie wiatrówki.

— Mam swoją — powiedziałem, uderzając dłonią w kolbę swojej austriackiej „Diany”.

— Nie, nie, pan będzie łaskaw, to wszystko jest dziełem sztuki. Pański każdy gest coś wyraża. Proszę, Proszę strzelać do tych postaci tam, pod ścianą.

Zmierzyłem się do tekturowej sylwetki żołnierza, a mój przewodnik uczynił to samo.

— Widzi pan, tu zaczyna się moment kreowania!

— Tak — odparłem. — Tak, to wstrząsające!

Ale w tej chwili jedna z dziewcząt wyrwała mi wiatrówkę i opryskliwie wyjaśniła, że czwarta, koniecznie pracy, przyjdź pan jutro. Spojrzałem niepewnie na mego przewodnika. W jego sarnich oczach mało, wał się bezgraniczny smutek.

— No, nie mogę ich zatrzymywać. Praca. Osem godzin, wie pan.

— Ale sztuka — próbowałem protestować.

— Tak, tak, oczywiście, ale także przepisy. Zapraszam pana do gabinetu. Tam porozmawiamy. Ja wyjaśnię.

Gabinet okazał się graciarnią. Ludwikowskie foteliki, finde-ciecle'owe kanapy, turski samowar, ikona, jeden Giotto i serwska porcelana pomieszane były w zwariowanym galimatiasie. Na środku stał stół z czasów Regencji, a pod nim dwa wielkie charty, jak dwa tłuste świerszcze. Chińskie miniaturowe filiżanki, lżejsze od puchu niosły do naszych ust aromatyczny wywar z etiopskiej kawy. Gwarzyliśmy o Żeromskim, Ibsenie, Leniwie, jak ludzie, którzy przesiłi szczęśliwie przez lodowaty nurt Styksowy i poza tłuczeniem orzechów dnia wczorajszego nie mieli nic więcej do roboty.

I minął sen.

HENRYK SZUBERT

Pilot wielkiej przygody



Fot. W. Parys

Nasz kraj wydał wielu wspaniałych lotników. Jednym z największych jest podpułkownik Stanisław Skarżyński — wytrawny pilot, zdobywca podniebnych przestrzeni, pochodzący z terenu obecnego województwa łódzkiego. Ten as lotnictwa sportowego i uczestnik walk z Niemcami hitlerowskimi w II wojnie światowej rozszalał polskie skrzydła na całym świecie. Dlatego w związku z 30 rocznicą śmierci Skarżyńskiego, przypadającą 26 czerwca br., warto przypomnieć postać tego bohaterskiego lotnika i jego odważne czyny.

Urodził się 1 maja 1899 roku w Warcie. W latach I wojny światowej bierze udział w ruchu niepodległościowym, głównie na terenie Kalisza. W listopadzie 1918 roku wstępuje Skarżyński do wojska polskiego. Początkowo służy w piechocie, następnie zostaje przeniesiony do lotnictwa. Uczy się i działa w społecznych organizacjach lotniczych i obronnych. W 1925 roku kończy szkołę pilotów w Bydgoszczy, studiuje także na Politechnice Warszawskiej.

Wówczas porucznik lotnictwa, wspólnie z por. inż. Andrzejem Markiewiczem odbył wielki rajd ponad Europą i prawie całą Afryką na małym, jednosilnikowym górnopłacie L-2, skonstruowanym i budowanym seryjnie w Państwowych Zakładach Lotniczych, wyposażonym w silnik Wright-Skoda, też wyprodukowany w Polsce. Trasa lotu rozpoczynała się i kończyła w Warszawie.

1 lutego Skarżyński i Markiewicz opuścili stolicę. Potem kolejno lądowali w Krakowie, Gyon (Węgry) i w Atenach. Z Aten dotarli do Afryki. Afrykańska trasa wiodła przez Kair, Chartum, Elisabethville, Luebo, Leopoldville, Lagos, Port Etienne i Casablanca. Trudny i niebezpieczny rajd nad Afryką trwał długo i dopiero 12 kwietnia Skarżyński i Markiewicz pożegnali ten ład, udając się do miejscowości Alicante w Hiszpanii. Stąd przez Perpignan, Bordeaux, Paryż, Berlin i Poznań dotarli do Warszawy. Przebyli trasę wynoszącą 25.770 kilometrów, co stanowiło wycieczkę na skalę światową. Po powrocie z tego gigantycznego w owych czasach rajdu Stanisława Skar-

żyńskiego przewzano „Wielkim Afrykańczykiem”.

Afrykańska wyprawa stała się dla Skarżyńskiego bodźcem do następnego, jeszcze trudniejszego, sportowego wyczynu lotniczego. Rozpoczął przygotowania do przelotu nad południowym Atlantykiem. Skryty lotnik przez dłuższy czas nie ujawniał swego zamierzenia. Nawet, gdy udawał się ponownie do Afryki na małym samolocie sportowym polskiej konstrukcji RWD-5 bis (RWD — pierwsze litery nazwisk konstruktorów: Rogalski, Wigura, Drzewiecki) oficjalny komunikat podał, że nasz lotnik pragnie „zaatakować międzynarodowy rekord długości lotu dla tej kategorii samolotów”.

Samolot Skarżyńskiego został odpowiednio przystosowany do rekordowego lotu. Do maszyny RWD-5 wbudowano, zamiast drugiego miejsca dodatkowy zbiornik na paliwo. Niewielki pojazd powietrzny, zaopatrzony w 120-konny silnik, mógł zabrać przy całkowitym napełnieniu zbiorników 750 litrów benzyny.

Nocą 7 maja 1933 r. o godzinie 23 wyruszył Skarżyński do lotu przez południowy Atlantyk z nad-

ADAM NONAS

Międzynarodowy Rok Książki

źródłem są dzieła literackie, tak, aby dany utwór był dostępnym w księgarniach w momencie wyświetlania danego filmu.

Ta ostatnia propozycja wydaje się szczególnie interesująca, gdyż, jak to obserwowaliśmy na przykładzie „Sagi rodu Forsyte'ów”, serial telewizyjny spowodował ogromne zainteresowanie powieścią, a niestety nie była ona dostępna na rynku księgarskim.

Wachlarz propozycji mających na celu popularyzację książki jest rzeczywiście bardzo bogaty i różnorodny. Planuje się organizowanie zjazdów i konferencji (szczególnie uroczyste charakter będzie miał XIX Kongres Międzynarodowego Towarzystwa Wydawców w Paryżu), fundowanie nagród i stypendiów, wymianę informacji i doświadczeń. Wszelkie poczynania przebiegać będą pod hasłem Międzynarodowego Roku Książki — „Książka dla wszystkich”.

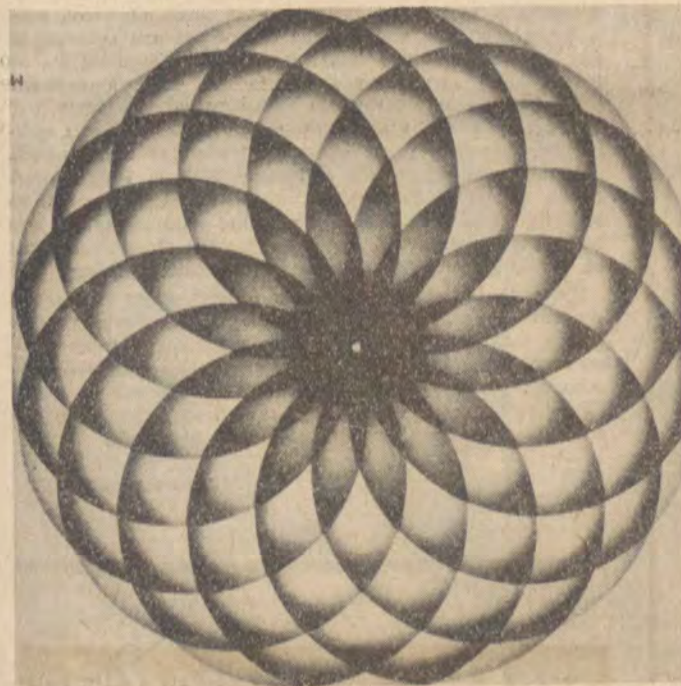
Warto tu niewątpliwie poświęcić nieco miejsca Karcie Książki. Przedstawiciele największych organizacji związanych ze sprawami wydawniczymi zaaprobowali na posiedzeniu Komitetu Dorad-

czego Międzynarodowego Roku Książki, które odbyło się w Brukseli w październiku 1971 roku, tekst Karty Książki — pierwszego tego rodzaju dokumentu w skali światowej.

Główne problemy, wokół których skupiać się będą wszystkie poczynania Międzynarodowego Roku Książki, to: popieranie twórczości pisarzy i tłumaczy, produkcja i rozpowszechnianie książek, rozwój bibliotekarstwa i czytelnictwa, książka w służbie oświaty, zrozumienia międzynarodowego i współpracy pokojowej.

Są to, oczywiście, tylko ogólne ramy, które wypełnią we własnym zakresie poszczególne państwa — członkowie UNESCO.

W naszym kraju wszystkim tym problemom nadano odpowiednią rangę w realizowanej przez Partię i Rząd polityce kulturalnej i zagranicznej. Polska poszczycić się też może najbardziej postępowymi tradycjami w dziedzinie oświaty, datującymi się od czasów Komisji Edukacji Narodowej, kontynuowanymi do chwili obecnej. Mamy więc pełne podstawy do uzasadnionej dumy z racji swych osiągnięć w upowszechnianiu czytelnictwa.



Kim był? Czego się spodziewał jako jeden z dwunastu apostołów? Jaka była droga, która wiodła go do zdrady? W tych kwestiach opinie znawców teatru, Boya-Zeleńskiego i Grzymały-Siedleckiego oraz słynnych odtwórców roli tytułowej, Ludwika Solłskiego i Karola Adwentowicza są podzielone. Brak miejsca nie pozwala mi na szczegółową analizę różnic w poglądach. Sumarycznie rzecz biorąc, jedni widzieli w Judaszu „plaza” lub „karaluca w ukropie”, drudzy — „arcyludzką wobec swojej małości postać”, jeszcze inni — kombinatora i karierowicza, a są i tacy (Maria Czernele), co piszą o nim jako o „pierwszym w dziejach rewizjonście wielkiej doktryny”, którego czyn zdradziecki „nie stracił do tej pory szerszej metaforycznej aktualności”.

Odmienność poglądów na „Judasza”, dramatu Karola Huberta Rostworowskiego, świadczy wymownie o złożoności i bogactwie treści, które postać Judasza z sobą wnosi.

Przekazy biblijne, skąpe i ulamkowe, nie mogły dostarczyć autorowi dostatecznego materiału do kreacji tytułowego bohatera sztuki, stanowiły jednak interesujący punkt wyjścia, gdyż mówiły o tym spośród dwunastu apostołów, który „nosił mieczek” czyli — jak byśmy dziś powiedzieli — sprawował funkcje gospodarza, wydał Mistrza siepaczom, rzucił srebrniki, którymi zapłacono mu za zdradę, i „obwiesił się”.

Tę historię biblijną zamyka Karol Hubert Rostworowski w pięciu aktach, a sześciu odsłonach dramatu, rozdzielając rolę między trzydziści pięć osób oraz rzeszę galilejską, rzeszę jerozolimską, niewolników i siepaczy.

Przed wojną teatru wystawiali „Judasza z Kariothu” w imponujących dekoracjach i wspaniałych kostiumach, wykorzystując liczne i pomysłowe efekty teatralne, a przede wszystkim — scenę drugą w akcie czwartym, w pałacu Annasza, klótnię saduceuszy z faryzeuszami, do której autor dołączył rodzaj „ilustracji muzycznej”, a ściślej: rytmikę klótni z wzmagającą się i opadającą wrzawą. Scenę tę podziwiał Boy-Zeleński.

W inscenizacji reżysera Andrzeja Przybylskiego w łódzkim Państwowym Teatrze Nowym ilość postaci scenicznych została zredukowana do piętnastu osób, a zamiast pompacyjnych dekoracji widzimy na tle rozpiętej białej sieci — bochen chleba i gliniany dzban. W tej surowej, symbolicznej scenarii rozgrywa się dramat właściciela sklepiku w Galilei, dramat człowieka, który pragnął i chciał, żeby Mistrz wkroczył do Jerozolimy jako ziemski władca w purpurowym płaszczu i błękitnej władzy.

Szczytowe osiągnięcie Bogusława Sochnackiego w roli Judasza polega na tym, że jest to kreacja wieloznaczna w najlepszym znaczeniu tego słowa. Judasz w wykonaniu Sochnackiego nie wzbudza ani pogardy, ani odrazy, kojarzących się w potocznej mowie z jego imieniem, nie jest ani „plazem”, ani „karaluchem”, a tylko małym nieszczęśliwym człowiekiem, nie umiejącym zrozumieć ani udziwnić wielkości

idei, która przekreśliła świat starożytny, dała początek nowej epoce i stała się siłą kształtującą nowe stulecia. W takim ujęciu bohater Rostworowskiego reprezentuje szerokie artystyczne (nie tylko w rozumieniu fideistycznym) uogólnienie moralno-filozoficznych kryzysów współczesnego człowieka u progu nowoczesnej epoki. Jest to zgodne z założeniami inscenizacji, które są jasne i wyraźne. Z historii biblijnej zostały zachowane symbole: chleb i gliniany dzban. Główne osoby dramatu są upodobnione do współczesnych pracowników morza, przy czym porównywalność współczesnych ubiorów, w

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

SPRAWA JUDASZA

budowa dramatu i bardziej precyzyjnie zarysowała akcja sztuki. Takie zabiegi reżyserskie pociągają za sobą również negatywne konsekwencje, które w wypadku „Judasza” nie deformują lub niszczą warstwę filozoficzno-moralną utworu, ale pozbawiają spektakl efektów widowiskowych, jak wspomniana scena klótni w pałacu Annasza.

Tragiczną postać Racheli, która uosabia wierność nowej idei, zagrała Iłona Bartosińska, przekonująca zarówno w momentach autentycznego liryzmu, jak i w dramatycznym wyrazie losu żony Judasza.

Słabo wypadły trudne, bo ka-



Iłona Bartosińska i Bogusław Sochnacki

jakich występują aktorzy w roli rybaków na scenie, z ubiorami współczesnych rybaków bałtyckich, bretońskich lub normandzkich wzmacnia i rozszerza siłę uogólniającą metafory i jest artystyczną propozycją laickiego odczytania dramatu wierności i zdrady. Eksperyment prezentacji na scenie postaci z dawnych epok w kostiumach współczesnych nie jest wprawdzie nowością, ale w sprawie „Judasza” nie jest też chwytym pustym i bez znaczenia (jak się to niekiedy zdarzało), lecz sensowną i trafną koncepcją reżyserską. Zasluga Andrzeja Przybylskiego jest również przekonywające opracowanie tekstu dramatu i krytyczne oczyszczenie go w wielu miejscach z bujności i dziwactw stylistyki łódzkiej, pełnej zwrotów, wzbudzających dziś nasz zdecydowany sprzeciw, takich jak, na przykład: „więc do mnie dalej wspiech”, „jak świat ten się rozgorze” itp. Przez znaczne skróty, o których wspominałem, ujawniła się wyraźnie

znodziejskie w założeniu autorskim, rolę apostołów (których liczbę ograniczył reżyser do trzech osób). Najbliższy przyjętym powszechnie wyobrażeniom o znaczeniu J. go apostołstwa wydał mi się Jan w interpretacji Jana Zdrojewskiego. Więcej pola do popisu dawały role faryzeuszy i saduceuszy, ale tutaj tylko Wojciech Piłarski jako obłudny Aniel i Wiesław Nowicki jako gwałtowny i niepojęty Kalfasz zademonstrowali interesujące zagrania aktorskie.

Postać Chrystusa w wykonaniu Andrzeja Maya, ucharakteryzowanego na podobieństwo gipsowej figurki odpustowej, klóciła się z surowym tonem spektaklu. Czy nie lepiej było pokazać czarno białe fotos naturalnej wielkości watykańskiej „Piety” Michała Anioła?

Państwowy Teatr Nowy, „Judasza” K. H. Rostworowskiego. Reż. A. Przybylski, Scenografia: H. Poulain.

brzeżnej miejscowości Saint Louis w Senegalu w kierunku brazylijskich brzegów. Tuż przed świtem samolot dostał się w strefę deszczów. Również i na dalszym odcinku trasy maszyna musiała toczyć walkę z burzami, z trudem przedzierając się przez potężne, otowlane chmury i deszczowe kurtyny. Odległość między Saint Louis a przylądkiem Sao Rooue, wynosząca 3.160 km, polski lotnik przebył w czasie 17 godzin i 15 minut, a swój transatlantyczny przelot zakończył na lotnisku w Maceo.

W Brazylii witano Skarżyńskiego niezwykle gorąco i serdecznie. Ponieważ był on człowiekiem skrytym, mało mównym i skromnym, ale jednocześnie odważnym, nadano mu wówczas przydomek „Mileczący Kondor”.

Udany przelot nad południowym Atlantykiem — rezultat wielu dokładnych przygotowań i przemysłu Skarżyńskiego, stanowił rekord światowy, za który Międzynarodowa Federacja Lotnicza nagrodziła naszego pilota Medalem Bleriota — jednym z najważniejszych odznaczeń lotniczych. Skarżyński otrzymał też wiele in-

nych odznaczeń zagranicznych i krajowych. Do nich doszły w czasie drugiej wojny światowej jeszcze cenniejsze odznaczenia bojowe.

Swój wspaniały lot opisał Skarżyński w książce pt. „Na RWD-5 przez Atlantyk”. Była to jego druga — po pracy pt. „25.770 km ponad Afryką”, napisanej w 1931 roku.

Po zdobyciu południowego Atlantyku lotnik wykonał jeszcze rajd nad ładem południowoamerykańskim, odwiedzając ośrodki polonijne. Pierwszym lotniskiem w kraju, na którym wylądował wracając z zagranicy, była nie Warszawa, lecz Łódź. Niespodziewany przyłot do Łodzi i zaskoczenie, jakie wywołał, opisał Skarżyński we wspomnianej wyżej książce. Później przybył on do Łodzi 27 maja 1934 roku, kiedy to na lotnisku Lublinek odbyło się uroczyste przekazanie Aeroklubowi Łódzkiemu dwóch samolotów RWD-8, ufundowanych przez społeczeństwo miasta i województwa łódzkiego.

W 1939 roku Stanisław Skarżyński bierze udział w walkach polskiego lotnictwa. Po zakończe-

niu tragicznej kampanii wrześniowej nie rezygnuje z dalszej walki z faszystowskimi Niemcami. Podobnie jak wielu polskich żołnierzy, przedstawia się do Francji, a po jej kapitulacji w 1940 r. do Wielkiej Brytanii. Tutaj doświadczonego pilot pplk. Skarżyński przez pewien czas jest komendantem jednego z większych ośrodków szkolenia polskich pilotów w Newton, a potem przechodzi do lotnictwa bombowego. W początkach 1942 r. zostaje komendantem lotniska Lindholme w północnej Anglii.

Mimo, że zajmowane przez Skarżyńskiego stanowisko i przekroczone przez niego w tym czasie granice dozwolonego do odbywania lotów wieku, wykluczały właściwie jego uczestnictwo w lotach bojowych, nie zrezygnował jednak z czynnego i bezpośredniego udziału w walce z hitlerowcami. W nocy 25 czerwca 1942 roku, Skarżyński, jako pilot jednej z wielkich dwusilnikowych maszyn Vickers-Armstrong „Wellington”, zabierających na wyprawę bojową do 4,5 ton bomb, wyruszył na bombardowanie Bremy. Chociaż lot był trudny, Skarżyń-

ski wykonał zadanie — dotarł do celu i rzucił bomby, został jednak ranny w obie nogi.

W drodze powrotnej do Anglii, uszkodzony przez niemiecką artylerię samolot Skarżyńskiego, zaczął nad Morzem Północnym tracić wysokość i dotarł do wybrzeży brytyjskich stało się niemożliwe. Ranny, na pół przytomny z bólu pilot, bezbłędnie posadził maszynę na wodzie i wyszedł na skrzydło samolotu, aby wraz z resztą załogi próbować rannu na nadmuchiwanej gumowej łódce. Ze skrzydła zmyły go jednak wysokie fale wzburzonego morza. W ten tragiczny sposób zdobywcę południowego Atlantyku pochłonęło Morze Północne. Stało się to 26 czerwca 1942 roku. Pozostali członkowie załogi samolotu uratowali się. Zwłoki naszego lotnika, wyłowione przez Niemców u brzegów wyspy Terschelling (wyspy Fryzyjskie), pochowane zostały przez miejscową ludność na cmentarzu wojskowym.

Symboliczna mogiła Skarżyńskiego — bohatera polskiego lotnictwa, odznaczonego wieloma wysokimi odznaczeniami polskimi (m. in.

Krzyżem Waleczności i Krzyżem Waleczności) oraz zagranicznymi — znajduje się w jego rodzinnym mieście — Warcie. Działalność społeczna i krajoznawczo-turystyczna tego miasta zgromadziła pamiętki związane ze Skarżyńskim, umieszczając je w Izbie Pamięci Narodowej w pobliskim Małkowie. W 1968 roku, podczas uroczystości obchodów święta Lotnictwa, do domu święta Lotnictwa (Warta, ul. Skarżyńskiego nr 10), umieszczono pamiątkową tablicę ku jego czci, ufundowaną przez miejscowy Oddział PPT-K i społeczeństwo miasta. Napis na tablicy głosi: „Tu urodził się i mieszkał pplk. pil. Stanisław Skarżyński 1. V. 1899 — 26. VI. 1942. Wsławił się lotem wokół Afryki — 1931, samotnie przeleciał Atlantyk pld. — 1933. Zginął śmiercią lotnika. PTT-K w Warcie 8. IX. 1968 r.”.

Komentarz do blaszanych obrazów

CZY WYSTAWA JEST SUKCESEM DLA ARTYSTY? Nie kończące się wystawianie takich samych obrazów w jednym sezonie i w dodatku krótkim czasie, że taką wystawę, mimo znakomitego nazwiska, ogląda się dość uciążliwie. Nie kończące się bajdurzenia recenzentów na jej temat, nie posuwają życia artystycznego ani o cal naprzód. Coraz mniejsze znaczenie ma tutaj krótkookresowe bilansowanie; prowadzi na przykład do relatywnego starzenia się dorobku młodego artysty. Ten statystyczny sposób myślenia u niektórych średnich i młodych twórców (ich biografie potwierdzają to) zmusza mnie do do-
różnej interwencji. Wykluczam z oceny wystawy ob-
zawę, docierając do miasteczka i wsi województwa, jak ambulans dentystyczny. Ta forma działania „usług estetycznych”, nie mająca w sobie przecież nic z charytatywności, jest szczególnie korystna dla widza w terenie. Wydaje się jednak, że ta sama wystawa obrazów „objazdowo” ekspozowana w osiedlowych galeriach Łodzi, już nie oznacza absolutnie ruchu artystycznego w Łodzi. Duża ilość tego rodzaju przykła-
dów uzasadnia nasz niepokój, że Biuro Wystaw Artystycznych, ułatwiając sobie zadania otworzyło peryferyjne galerie, ale nie zadbało o zasady ich funkcjonowania. Do

realizacji ogólniejszego programu upowszechniania sztuki wkradła się więc żywiołowość, połowiczna jego realizacja. To zaledwie krok od wyczerpania się z własnych inicjatyw. Czas sięgnąć do rezerwy 621 zrzeszonych w Okręgu artystów plastyków!

Kolejkę malarstwa Władysława Jagody kolejno ekspozowano — w pierwszej połowie roku 1972 — w Galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie; w salach RSM „Bawelna” (Widzewska Galeria Sztuki), w galerii „Książki Młyn”; dalej w Wieluniu (Muzeum Ziemi Wieluńskiej), Pabianicach (Muzeum Regionalne), Kutnie (Miejska Biblioteka Publiczna), Tomaszowie (Galeria pod Arkadami).

Obecnie trwają pertraktacje na temat ekspozowania jej jeszcze w galerii Klubu Dziennikarza. Tedy dzisiaj postaramy się wystawę opisać. Przewodzą w naszym komentarzu dwa pytania: czy wystawa malarstwa Władysława Jagody spełnia minimum społecznego zadania? I drugie — jak owe rozproszone ekspozycje przysłużyły się artyście?

Od razu mam wątpliwości, czy łódzcy dystrybutorzy plastyki, przekształcając indywidualną warszawską WYSTAWĘ PREMIEROWĄ w rodzaj „kiermaszowej” wystawy objazdowej, swoją gorliwością, swą zapobiegliwością nie dzia-

lają równie zgnębnie, choć w inny sposób, na rzecz umniejszenia rangi artysty. Owe „peryferyjne punkty wystawowe” — jak się rzekło, powinny zaznaczyć własną odrębność i profil. W nie mniejszym stopniu jak Salon Sztuki Współczesnej w Śródmieściu. Czymże jest wystawa premierowa? Najbliższą jej cechą jest to, że dotyczy jakiegoś dającego się zrozumieć wydarzenia artystycznego. Tu jednak pojawia się szkopolnie lada: wszak wystawa naszego artysty z roku 1972 wcale nie różni się od tej z roku 1968. Nie widzę rozwoju twórczego w malarstwie Jagody — ciągle trwa tu jeszcze „blaszany dogmat” formy. Choć Jagoda zdobył wiedzę praktyczną, to nie przełamał magicznej koncepcji lada.

Historik sztuki, dr Henryk Anders, uogólnia i powiada we wstępie do katalogu, że Władysław Jagoda „...jak każdy autentyczny artysta, znajduje szczególnie zadowolenie w walce z oporem materiału, toteż wdrażając się w tajniki odmiennej technologii malarskiej metodycznie blachę aluminiową, zabarwia ją, utlenia, wytrawia i poddaje obróbce termicznej”. Czy malarstwo udało się wypracować artystycznie swoje zamierzenie? Pełniejsza odpowiedź nie mieści się w ramach felietonu. Powiedzmy tylko — nieco na kredyt, że w tak uniwersalnej technologii malarskiej więcej budził w nas owa recepta „blaszanych” olejów niepokojów i zastrzeżeń, niż ufność. Rozwiązania fakturalne ujawniają odmienne pojmowanie sensu malarstwa, odwołują się do coraz innych systemów wartości podporządkowanej tym samym nakazom mody, które rządzą masową rywką, reklamą.

W tym zaskakującym (dla krytyka H. Andersa) skojarzeniu środków i funkcji w tej „ureczywistnionej nowej technologii” blachomalarska, kryje się słabość artystyczna przypadkowego eksperymentu. Ta gra jest bezosobowa. Obrazy są puste — dekoracyjne (użytkowe). Gdzie owo zakłęcie nierozpoznawalnej jeszcze indywidualności twórczej? I dopóki brakowało przeznaczenia tym obrazom pozostawały one tylko dziwactwem, pretensją bez pokrycia. Dopiero Gustaw Romanowski znalazł we wstępie innego katalogu dla blaszanych obrazów miejsce... w architekturze: „...powiększone wielokrotnie mogą w każdej chwili stanowić pewny element dekoracyjny wielkich reprezentacyjnych wnętrz”. Przez hipertrofię formy, blaszane przedmioty malarskie Władysława Jagody miałyby w sposób bardziej jednoznaczny niż zwykłe olejne, kameralne malarstwo zwiastować odbiorcy swoje treści, swoje przeznaczenie?

Tak sądzi krytyk, Gustaw Romanowski, ale czy tak samo myśli malarz Władysław Jagoda?

Otóż broniąc założenia o racjonalności — stwierdził muszę, że sztuka Władysława Jagody wraz z całym przypisywanym programem artystycznym, to „materia marzeń”, która mimo rozlewianych sztucznych zacieków, piętrzonych efektów fakturalnych, świetlnych — przypomina znany produkt przemysłu artystycznego — wszystko to nie może nie rozczarować. Poznałem malarza, gdy we wcześniejszych swoich pejzażach marynistycznych zawarł tyle prawdziwych nadziei i tęsknot! Teraz czeka na nowe spełnienie.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Film muzyczny, zwany musicaliem w swych najbardziej klasycznych przykładach związany jest z nazwiskami takich hollywoodzkich reżyserów, jak Stanley Donen („Deszczowa piosenka”), Vincente Minelli („Amerykanin w Paryżu”) i Gene Kelly — wybitny tancerz, aktor i reżyser („Zaproszenie do tańca”). Największe powodzenie tego typu widowisk filmowych przypada na lata czterdzieste i pięćdziesiąte. Spadek popularności musicalu w latach sześćdziesiątych spowodował, że wysiłki producentów Hollywoodu poszły w kierunku realizacji wielkich, niezwykle kosztownych widowisk, imponujących już nie tylko znakomitością śpiewających i tańczących wykonawców, ale nade wszystko bogactwem dekoracji i kostiumów oraz rozmachem filmowej realizacji. Zbiegiem tym towarzyszyło oczywiście poszukiwanie nowych, przyciągających do kina wykonawców. Karierę Julie Andrews i Barbry Streisand łączą się właśnie z tym okresem, a o Streisand mówić się, iż jest ostatnią „gwiazdą” w stylu hollywoodzkim.

Ekranowa legendę Barbry Streisand mamy obecnie okazję sprawdzić, oglądając „oskarowy” szlagier z 1969 roku, czyli „HELLO DOLLY!” w reżyserii nieustraszonego musicalowego weterana, Gene Kelly. I w istocie „Hello Dolly!” jest widowiskiem, w którym odnajdziemy zastosowania wszystkich receptur mających uzdrowić niedomagający musical rodem z Hollywood. Na ile była to terapia skuteczna, oceni każdy z nas na swój użytek, jedno tylko pewne być może, zmusić do lubienia musicalu, to rzecz niemożliwa. Kto go nie lubi, tego „mamucie” wymiary i rozmach „Hello Dolly!” tym bardziej zniechęca, choć może i pochwali film za jego wstępną, odurzającą sekwencję, z satysfakcją obejrzy i posłucha ostatniego ekrano-

wego występu Louisa Armstronga w tytułowej piosence filmu, zaciwyci się nawet naprawdę znakomitą sekwencją zabawy w Harmonia Garden, a urzeknie go temperament i niezaprzeczalny talent słynnej w świecie Barbry Streisand. Z wyliczeń tych wynikałoby, że jest właściwie co w „Hello Dolly!” podziwiać, a jednak nawet wielbiciele musicalu, a może właśnie głównie oni, przypominają sobie czasy, kiedy o sukcesie tego typu widowiska decydowała znakomita muzyka, wspaniałe układy choreograficzne oraz oszalałający rytm. W „Hello Dolly!” te atuty musicalu wymieniono w ogromnym stopniu na atakowanie widza bogactwem i ogromem dekoracji, kolorystyczną orgią kostiumów, mnogością statystów. Rozmiary widowiska przytłaczają to, co w musicalu było zawsze największą atrakcją, a Streisand w istocie jest znakomita, skoro potrafi w tym

wszystkim tak wiele znaczyć. Już sam Kelly jako reżyser i Kidd jako choreograf właściwie tylko raz nam imponują, a to we wspomnianej już sekwencji w restauracji Harmonia Garden. A w ogóle, czy to możliwe, by tylko jedna piosenka z całej muzycznej partytury mogła stać się szlagierem? Przypomnijmy muzyczne kariery takich widowisk z Broadwayu i Hollywood (a to normalna droga wszystkich amerykańskich musicali), jak „Opowieść z Zachodniej Dziewicy” i „Hair”, a będziemy patrzeć na „Hello Dolly!” jak na potężne, to prawda, ale podzwonne dla tego typu mamuciego widowiska.

Przy pomocy musicalu i Gene Kelly przeniesiono się teraz do Francji, przypominając, iż w latach sześćdziesiątych z udziałem wykonawczym tego ostatniego próbował odnowy filmu muzycznego Jacques Demy, realizując „Parasolki z Cherboursa” i „Panienki z Rochefort”. Te śpiewane filmy Demy’ego spotkały się z doskonałym przyjęciem, a to głównie właśnie z uwagi na doskonałą muzykę i taniec, którym w sukurs przyszedł także, jakże inny w porównaniu z ame-

rykańskim, francuski klimat całej zabawy.

Muzyczną komedię francuską reprezentuje obecnie na naszych ekranach film „CZŁOWIEK — ORKIESTRA”, w którym tytułową rolę kreuje niespożyty Louis de Funés, a całością dyryguje Serge Korber, znany dotąd głównie jako reżyser widowisk i występów największych piosenkarzy świata w paryskiej Olimpii. „Człowiek — orkiestra” nie zasłynie znakomitą muzyką czy choreografią, to pewne, ale przypomni, iż nawet panu de Funés potrzebny jest dobry reżyser, bo dzięki temu znów można popatrzeć na narodowego komika Francuzów jak na aktorski talent, a nie marionetkę, którą obdarowano okrzestoną ilością grymasów i gestów. Louis de Funés jako dyrektor baletu choć raz zrezygnował z wyłączenia ostatnio preferowanej przez siebie roli półgłówka. Obdarowuje nas okazjami do autentycznego śmiechu, a dziewczęta z jego zespołu pięknie tańczą, śpiewają i wdzięcznie wyglądają, pozyskując dla filmu tych, co za panem Ludwikiem nie przepadają.

EWA NURCZYŃSKA



TEATR OBIEKTYW

TEATR I O TEATRZE

Mówienie o dziełach sztuki jest znacznie trudniejsze niż ich odbieranie. Odbiór dzieła sztuki jest spontaniczny i pozostaje prywatną sprawą odbiorcy. Komentowanie zaś pretenduje do uogólnień, ocen sugerujących pewne określone spojrzenie na dzieło i jego twórcę. Dlatego jest funkcją bardzo odpowiedzialną.

Najliczniej uczęszczany teatr polski — Teatr TV (mam na myśli przedstawienia poniedziałkowe) miał kiedyś zwyczaj poprzedzania spektaklu komentarzem wstępnym. Dobry to był zwyczaj zwłaszcza gdy autor sztuki był mało znany, a autor wprowadzenia światły i mający coś istotnego do powiedzenia. Zwyczaju tego poniechano dość dawno uznając widocznie, że publiczność dojrzała już do samodzielnego odbioru sztuki teatralnej. I oto nagle, przed przedstawieniem „Cezara i Kleopatry” autora tak popularnego jak Bernard Shaw, pojawił się komentarz. Z komentarza tego, z niemałym zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że choć niektórzy w pewnym okresie stawiali twórczość Shawa wyżej niż Szekspira, a on sam w skrytości ducha zapewne tak sądził, to jednak bufonem nie był. Więc choć „Cezar i Kleopatra” jest pojedynkiem Shawa z Szekspirem, skutkiem czego powstały pęknięcia w dramaturgii sztuki, to jednak pęknięcia te wyszły szczerze na dobre.

Mam wrażenie, że i reżyser Jerzy Gruza i główni wykonawcy, tworząc to przedstawienie, nie pamiętali o pęknięciach, polemikach i snobizmie. Znakomita była kreacja Gustawa Holoubka, który postać Cezara poprowadził konsekwentnie od początku do końca, nie ujmując jej nic z powagi, potraktował z shawowskim dystansem i poczuciem humoru. Jego Cezar był zarazem dobroduszny i bezwzględny, pobliźliwy i sprytny, mądry rozsądkiem człowiekiem, który widzi szerzej i dalej niż otaczający go ludzie. Zaskakujące było wcielenie Magdy Zawadzkiej w rolę Kleopatry (kiedyś ja wreszcie przestanę w niej widzieć Baśkę Wołodyjowską!).

Jednym słowem, pod koniec sezonu teatralnego przedstawienie dobre i interesujące. A sezon kończy się już. W teatrach zaczyna się niebawem urlop, a krytycy poczuwają się do obowiązku podsumowań. W programie lokalnym TV obejrzelibyśmy 20 bm. pierwsze wydanie łódzkiego magazynu kulturalnego. Pierwsze, bo zapowiedziano audycję tę jako stałą pozycję zajmującą się wszystkimi dziedzinami życia kulturalnego miasta. Na pierwszy ogień poszły teatry łódzkie. Przed kamerą zaproszono recenzentów teatralnych, w wielu jednak niepełnym, bo trzyosobowym składzie. Postawiono przed nimi zadanie podsumowania blasków i cieni minionego sezonu. Być może z powodu tak nielicznego składu, atmosfera spotkania była raczej familarna, nie zabrakło nawet wyznań całkiem prywatnych, choć czas na dyskusję był bardzo szczupły. Wbrew zapowiedziom wstępnym, w których obiecywano ostre spory i polemiki, dyskusja była raczej grzeczna, a dyskutanci zgodliwi, choć nieco niesforni. Przewodząca spotkanie nie potrafiła zapanować nad sytuacją na tyle, by bardziej elokwentni pozwolili wypowiedzieć się do końca mniej elokwentnym. Zresztą ona sama zbyt często popełniała grzech przerywania mówiącym w pół zdania.

Wstawki filmowe z przedstawień, zresztą złej jakości technicznej, wypełniły sporo czasu, stąd zapewne najciekawsza, choć końcowa wypowiedź o Teatrze Wielkim została przetrwana niemal w połowie. W sumie dowiedzieliśmy się, że miniony sezon teatralny w Łodzi był dobry, ale nie wydałby się tak dobry, gdyby poprzedni był lepszy, natomiast są wszelkie szanse, że następny będzie jeszcze lepszy.

Myślę, że ten niezbyt udany start publicystyki kulturalnej nie powinien zniechęcać jej autorów. Taka pozycja jest na pewno potrzebna, powinna jednak być starannie przygotowywana, autorzy muszą się też zastanowić co chcą przez nią osiągnąć, jaki cel ma ona spełniać. Albowiem jak się rzekło na początku, ocena dzieł sztuki, twórczości artystycznej jest znacznie trudniejsza niż jej oglądanie i słuchanie.

JOANNA SERGONT

spektakle tygodnia

ZA OKRES OD 12 DO 18. VI. 1972

TEATRY

	Ilość spektakli	Liczba widzów	proc.
WIELKI			
„Uprowadzenie z seraju”	2	2520	100
„Wesele w Ojcowie”, „Harnasie”, „Sylfidy”	1	1250	100
„Henryk VI na łowach”	1	1250	100
„Dafnis i Chloé”	1	800	64
„Człowiek z La Manczy”	1	1100	90
POWSZECHNY			
„Perla”	2	1250	95
„Ich czworo”	4	2250	80
JARACZA			
„Hamlet”	2	800	78
„Szklanka wody”	2	1030	100
„Mirandolina”	2	600	58
7.15			
„Trędowata”	5	2085	100
OPERETKA			
„Diabeł nie śpi”	6	4200	65
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	681	50

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

KSIĄŻKI NAJRZADSZE, NAJCENNIJSZE...

W ramach Międzynarodowego Roku Książki ustanowionego przez UNESCO Biblioteka Narodowa w Paryżu urządziła wielką wystawę „białych kruków” ze swego niezwykle bogatego zbioru. Wystawa ta zatytułowana „Le Livre” (Książka) jest największą i najważniejszą tego rodzaju jaka kiedykolwiek urządzona była we Francji. Znalazły się tu książki w niemal wszystkich formach i postaciach jakie przekazały nam wie-

Francji znajduje się w stanie oplakany. Co drugi Francuz nie kupuje w ogóle książek, trzech pracowników fizycznych na czterech nie czyta książek, a tylko jeden Francuz na dziesięciu przynajmniej raz do roku odwiedza księgarnię. W dalszej części artykułu pismo kreśli pokrótce dzieje powstania książki i jej rozpowszechnienia. Kiedy powstała pierwsza książka? Prawdopodobnie narodziła się wraz z pojawieniem się pisma w trzecim tysiącleciu przed n.e. na obszarach między Tygrysem

W Indiach i Chinach od najdawniejszych czasów używano do pisania rozmaitych materiałów. Wykorzystywano w tym celu liście palmowe, lyko roślinne, korę brzo-

nocnej Afryki skąd przeniknęła następnie do Hiszpanii, by w czternastym wieku zawędrować do Francji. Druk wynaleziono w Europie, jak wiadomo, w roku 1455, a pierwszym drukarzem był Gutenberg. Ale jeszcze przed tym na Dalekim Wschodzie istniała technika przypominająca zasadę druku. Oto teksty ryto na drewnianych tabliczkach, które, jakby matryce, mogły być następnie zastosowane do wielokrotnego odbijania. W ten sposób rozpowszech-

„Dobrze, że Riepin odjechał tak szybko jak przyjechał — stwierdza Grabar” w swej książce o wielkim malarzu. — Gdyby został, wątpliwe czy udało się go przekonać o konieczności zmiany nowego malowidła. W tym bowiem czasie Riepin przejawiał wyraźne zamiłowanie do koloru fioletowego, w którym malował wszystkie swe obrazy po roku 1900. Kiedy kilka miesięcy później znów przyjechał Riepin do Moskwy i odwiedził galerię, długo stał przed swym obrazem nie będąc pewnym czy kolory zmieniły się same, czy też to on nałożył na płótno inne farby niż zamierzał. Nie odezwał się jednak, bo nie znalazłszy śladów ścierania, odszedł uspokojony”.

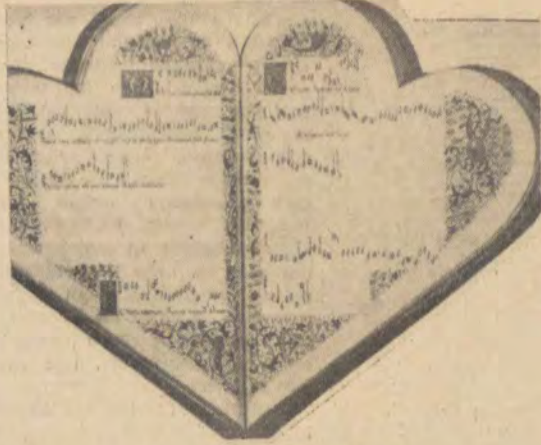
Dlatego jednak Riepin namalował twarz cara na fioletowo? Dziś sprawa jest już całkiem jasna. Nad tajemnicą tą zastanowił się pewien radziecki fizjolog i znalazł rozwiązanie. Otóż uczony ten zadał sobie pytanie dlaczego od wielu obrazów Riepina, namalowanych w podeszłym wieku, wieje chłodem fioletowych i niebieskich kolorów. Uczony postanowił poszukać rozwiązania nie w manierze ich twórczości lecz we właściwościach ludzkiego oka. I stwierdził, że u człowieka z upływem lat zmienia się ciało szkliste we wnętrzu oka, przybierając żółtawą barwę. Oznacza to, że wielu ludzi starzejąc się, ogląda świat jakby przez jasnożółte szkło. Wiadomo, że żółte szkło, jak np. żółty filtr fotograficzny łatwo przepuszcza barwy żółte, tłuści zaś fioletowe i niebieskie. Tak więc stary malarz patrząc na swą paletę uskarża się, że wyblakły na niej farby niebieskie i fioletowe. Malując obraz używa więc ich w większej, niż należałoby, intensywności, nie zdając sobie z tego sprawy, że to nie farby się zmieniły, lecz jego oczy. Tym, który badał te zjawiska i inne z tej dziedziny, jest radziecki uczyony Siergiej Wawilow. On i jego uczniowie wnieśli poważny wkład w naukę o luminescencji.

W dniu 24 maja br. malarz Urriburu wszedł do basenu z wodą niosąc torbę zawieszoną na pasie. Nie zważając, że woda moczy jego ubranie, począł garściami wysypywać proszek. Basen fluoryzował zielenią. W kilkanaście minut potem Urriburu przemoczony do ostatniej nitki, poplamiony barwiącym proszkiem, zadowolony z siebie opuścił park.

Nicolas Urriburu, argentyński malarz urodził się w roku 1923. We Francji zdobył za swe malarstwo sztalugowe nagrodę im. Braque'a. Był też stypendystą rządu francuskiego. Od jakiegoś czasu, ów Argentyńczyk chce ze swą sztuką „wyjść z dwuwymiarowości płótna, z sal galerii i muzeów, pracować z Naturą i wśród niej. Nie chodzi tu o przeniesienie Natury na płótno — oświadcza Urriburu — lecz o malowanie samej

Natury, która w ten sposób staje się dziełem sztuki. Dzieło sztuki ma także swoje życie — początek i koniec. To jest sztuka efemeryczna — jak życie samo” — określa ów malarz swą artystyczną działalność. Urriburu „malował” już wody Wielkiego Kanalu w Wenecji w 1968 roku, Sekwanę w Paryżu w roku 1970, a w zeszłym roku jezioro w Vincennes pod Paryżem. To „malowanie” wody jest dość kosztowne. Wydał już na ten cel 10.000 franków.

Ku zmartwieniu malarza władze traktują urprawiany przez niego rodzaj sztuki jako zanieczyszczenie wód i policja we wszystkich miastach francuskich została ostrzeżona. Ma ona pilnować, by Urriburu nie mógł nadal „malować” natury, nawet wtedy, gdy zanieczyszczenie ma być dziełem sztuki.



Śpiewnik z ok. 1470 roku

ki. Na paryskiej wystawie można oglądać więc gliniane tabliczki, papiirusy, rękopisy Majów sporządzone na specjalnym papierze z liści agawy, pergaminy itp., aż do książki współczesnej. Omawiając wystawę, paryski tygodnik „l'Humanité” stwierdza z gorącością, że współczesny stan czytelnictwa we

a Eufraatem. Nie istniał wtedy papier, nie znano piór, ale istniały już biblioteki składające się ze zbiorów glinianych cegiełek z pismem kilnowym. W starożytnym Egipcie, jak wiadomo, pisano na papiirusach. Najstarszy jaki do nas dotarł ma 7 metrów długości i powstał dwa tysiące lat przed n.e.



Kolporter książek. Drzeworyt z XVI w.

zowa, ryto lub malowano na deseczkach. Później w Chinach zaczęto stosować jako materiał do pisania jedwabne tkaniny. I wreszcie wynaleziono papier. Odkrycie tego materiału piśmienniczego zbliżonego już do naszego, dokonał podobno T'sai Luen, kierownik warsztatów cesarskich na początku II w.n.e. Z Dalekiego Wschodu tajemnica fabrykacji papieru przeszła do Azji Środkowej, do Bagdadu, do pół-

niano teksty buddyjskie, almanachy, wróżby. W Europie po wynalazku druku książki bywały często sprzedawane przez specjalnych kolporterów na jarmarkach czy odpustach. Byli to więc pierwsi księgarze, bardzo popularni we Francji zwłaszcza w szesnastym wieku. Niektórzy z nich otwierali lokale w rodzaju czytelnicy, co dało początek powstaniu rynku księgarskiego.

DLACZEGO RIEPIN MALOWAŁ FIOLETOWO?

16 stycznia 1913 roku w galerii obrazów w Moskwie młody malarz ikon, Abram Balaszow pociął nożem obraz Riepina zatytułowany „Car Iwan Groźny i jego syn Iwan”. Słynny obraz przedstawia scenę gdy rosyjski car w przystępie nagle gniewu zadał śmiertelny cios carewiczowi. Uszkodzone płótno zostało poddane zabiegom restauracyjnym. Gdy techniczne prace ukończono, wezwano Riepina, który wówczas przebywał w Finlandii. Riepin przyjechał i własnoręcz-

nie wykonał poprawki. Jakież było zdumienie pracowników galerii, gdy ujrzeli potem obraz wielkiego malarza. Oto Riepin, obok niezbędnych poprawek, pomalował na nowo twarz cara w jaskrawo nieprzyjemnych, raziących fioletowych barwach, przeraźliwie odróżniających się od całości tonów obrazu. Farba była jeszcze świeża. Korzystając z tego, że Riepin już wyjechał i że farby nie zdążyły jeszcze wyschnąć, Igor Grabar, kierownik galerii, watą umoczoną w nafcje starł bardzo starannie farby nałożone przez Riepina odsłaniając poprzedni wizerunek twarzy cara.

URIBURU MALUJE... WODĘ

„Niech pani spojrzy, madame, ten pan wszedł do fontanny. Maluje wodę na zielono!” — wołały dzieci do nauczycielki podczas zwiedzania parku wokół Palais de Chaillot w Paryżu.



Tadeusz Stefanek — „Brzemienna” (1966 rok).



Wnętrze drukarni na przełomie XV i XVI wieków

WOD
NIEDZIELI
WOD
NIEDZIELI

PROGRAM TRZECI

RECENZJA Z RADIA ▲ NAJMŁODSZE DZIECKO RADIOFONII ▲ CO WIDAC PRZEZ „PERYSKOP”? ▲ MEDALOWE PROGRAMY ▲ GDZIE TAJEMNICA? — WARTO DODAC ▲ ATMOSFERA STUDENCKIEJ SCENKI

Kiedy się przegląda roczniki pism z lat dwudziestych i trzydziestych, odnajdujemy w nich felietony i recenzje z programów radiowych. Dziwne, prawda? Za lat pięćdziesiąt ktoś napisze, podobnie zdziwiony, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pisano stałe recenzje z... programów telewizyjnych.

Publikowanie dziś omówień radiowego programu byłoby zupełnym anachronizmem, radio nam towarzyszy przy pracy, na wycieczce, w autobusie i na ulicy. Przeszło dawno być nowością, tak jak zresztą przestała być nowością telewizja; recenzje telewizyjne stają się coraz nudniejsze i wiele gazet z nich rezygnuje.

Jeśli więc poświęcam tę parę słów radiowemu programowi, to dlatego, że choć wyrazić moje uznanie dla programu trzeciego i moje przekonanie, że jednak radio nie przegrało z telewizją. I to wcale nie dlatego, że nie mamy jeszcze zastworzonych telewizorów. Kiedyś były zastępca byłego szefa rozrywki w telewizji powiedział w wywiadzie o programie trzecim: „wszyscy go chwala, bo mało ludzi słucha UKF...” Nonsens. Najmłodsze dziecko radiofonii w istocie jest najinteligentniejsze, najbardziej pomysłowe. Może dlatego, że najmłodsze? Oczywiście nie mam zamiaru recenzować kilkunastogodzinnego programu, ale chcę zwrócić uwagę na dwie przynajmniej stałe audycje. Pierwsza to „Peryskop” — cotygodniowy przegląd wydarzeń dokonywany w formie luźnej dyskusji.

Niby nic odkrywczego, ale Wiesław Górnicki, Andrzej Krzysztof Wróblewski i Jan Zakrzewski robią to w sposób odkrywczy. Polega ta odkrywczość na tym, że mówi się nie tylko do rzeczy, ale i do ludzi, że mówi się bez dętej sztafki, nie żargonem publicystycznym, ale po prostu. A poza tym słuchamy w „Peryskopie” refleksji, które nam, zwykłym zjadaczom chleba, też czasem ełchodzą po głowie, ale jako żywo nigdy nie znajdujemy ich odbicia w dziennikach telewizyjnych, komentarzach prasowych i doniesieniach PAP. Pamiętajcie więc — program trzeci — niedziela, godzina 14,20 — „Peryskop”.

„Drugi”, „medalowy” program to „Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy” Jacka Janczarskiego i Adama Kreczmara, (piątek, godz. 20,25 i niedziela, godz. 10,00). Dla tego pro-

gramu warto zrezygnować z każdego filmu telewizyjnego i z każdej audycji, a nawet z niedzielnego spaceru. Co to za bomba — pomyśli czytelnik — jak oni to robią? Otóż, nie wiem jak. Wydania „ITR” często nie są oparte na żadnym rewalacyjnym pomysle, ot — leitmotiwem jest albo stara instrukcja radiowa z lat dwudziestych, albo choroba jednego z prezentorów, albo zabawa w przyznawanie nagród wykonawcom... Nic nowego, ale zrobione to wszystko jest tak lekko, z nerwem, dowcipnie, z furą powiedzonek i „bonmotów” („ze świętej krowy bardzo często robi się święta szwinia”) — słowem jest to zapewne najlepszy program rozrywkowy naszej radiofonii. Tajemnica tkwi chyba w początku humoru i inteligencji autorów, którzy nawet z jednego sztalugowego zwrotu dziennikarskiego, „warto

JERZY WIDOK

TAJEMNICA KUFRA

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— Więc chce pan wyciągnąć jej przyjaciela z kłopotów? Luźnia!

— Pani uważa, że jest winny?

— Naturalnie!
— Kto przyszedł pierwszy tego wieczora?

— Ja i Jeremey, potem Jack, ostatnia Margarita. Powiedziała nam o depezy.

— Czy major mówił, że widział Claytona przed wyjazdem do Szkocji?

— Nie słyszałam.
— Czy pani wie, że depeza była fałszywa?

— Tak przypuszczałam. Ktoś usunął męży, żeby nie przeszkadzał.

— Podejrzuwa pani, że Rich i Margarita porozumiełi się?

— Mogło tak być.
— Czy Clayton ich podejrzewał?

— Arnold był skryty i zadrosny, lecz tego nie okazywał. Nie zdziwiłabym się, gdyby to on zabił majora a nie odwrotnie.

— Co pani powie o Larenie?

— Jack to typowy przyjaciel domu. On i Arnold przyjeżdżali się. Myślę, że i Rich mu się zwierzał. Naturalnie Jack był domowym kotem Margarity już od wielu lat.

W tym momencie otworzyli się drzwi i wszedł Jeremey Spence. Lynda wymknęła się do kuchni zostawiając męża i detektywa Spence niecierpliwie się. — Była już u nas policja i powiedzieliśmy wszystko.

— Jeszcze kilka pytań. Czy pan sądzi, że pani Clayton brała udział w zbrodni wraz z Richem?

— Na miłość boską, nie! — Spence wydawał się wstrząśnięty.

— A jednak takie rzeczy zdarzają się. Weźmy pod uwagę narzędzie zbrodni: sztylet do broń, która należy raczej do kobiety niż do mężczyzny.

— Czy pan chce powiedzieć, że należał do niej? To niemożliwe!

— Nic na ten temat nie wiem — rzekł Poirot i położył się. Trwoga, jaką zobaczył w twarzy pana Spence, nasunęła mu pewne myśli...

★ ★ ★

— Nie wiem, w jaki sposób może mi pan pomóc — rzekł Rich. — Rozumiem, że Margarita przysłała pana do mnie w najlepszej intencji, lecz to nie

jest rozsądne. Zaczyna nas podejrzewać o znowu. Ja nie zabiłem Arnolda Claytona. Mam adwokatów i ci muszą mnie obronić.

Poirot uśmiechnął się. — Idę, już idę. Chciałem tylko zobaczyć pana. Słyszałem o pańskich wspaniałych studiach i karierze. Wiem już co o panu sądzić: człowiek o takim umyśle nie popełnia zbrodni w tak prymitywny sposób. Proszę mi teraz coś powiedzieć o Burgessie.

— Burgess? Dlaczego?

— Tak, bo jeśli pan nie zabił Claytona, pozostaje tylko Burgess. Ale dlaczego to zrobił?

— Nie wiem, Burgess nie jest człowiekiem zdolnym do mordu.

— A jak z bronią?

— Sztylet nie jest mój.
— Czy pan go gdzieś widział przedtem?

— Tak — odpowiedział Rich z wahaniem. — To jest rodzaj dekoracji spotykany czasem w domach.

— Może w salonie pani Clayton?

— Absolutnie nie!
— Ale gdzie go pan widział.

— Poirot wstał. — Idę już...

★ ★ ★

— A teraz do Burgessa — rzekł do siebie Poirot.

Burgess już go oczekiwał uprzedzony o wizycie przez Larenę. Wprowadził detektywa do salonu.

— A więc tu się to stało? — zapytał detektyw rozglądając się. — A to jest ów słynny kufer?

— Tak, proszę pana.

Detektyw zbliżył się do kufra stojącego pod ścianą w pobliżu stolika z płytami i adapterem. Z drugiej strony kufra były drzwi częściowo zasłonięte szerokim parawanem.

— To odkrycie musiało być dla pana okropne — zwrócił się grzecznie do Burgessa.

— O, naprawdę, nigdy tego nie zapomnę!

Kamerdyner opowiadał z przejęciem, jakby chcąc zrzucić gniotący go ciężar.

— „Zauważyłem ciemną plamę... uniosłem wieko kufra i zobaczyłem ciało człowieka leżącego na boku ze sztyltem w szyl...”

Burgess oddychał z trudem. — Wybiegłem na ulicę i sprrowadziłem policjanta...

— O której godzinie przybył do was pan Clayton?

— Kwadrans przed 20. Był

zdyszany, pewnie się śpieszył na stację.

— Czy miał ze sobą torbę podróżną?

— Nie miał, może zostawił w taksówce.

— Czy żałował, że nie zastał majora?

— Tego nie zauważyłem. Powiedział że chce napisać kilka słów. Wszedł do tego pokoju, a ja udałem się do kuchni, aby przygotowywać kanapki. Kuchnia jest w głębi korytarza, więc nie słyszałem, czy wychodził i także nie słyszałem, jak mój pan wrócił.

— I co potem?

— Major wysłał mnie po papierosy tureckie. Kupiłem je i położyłem na tym stole. Sądziałem, że pan Clayton już odszedł.

Poirot zamyślił się. Państwo Spence, Laren i pani Clayton mieli żelazne alibi. Zresztą, gdyby chcieli pozbyć się Claytona poszukaliby dogodniejszego miejsca niż dom Richa. A może to jakiś „tajemniczy nieznajomy”? Który szedł za Claytonem, przebił go sztyltem ukrył w skryzynie...

Zbliżył się znów do tragicznego mebla. Podniósł wieko, nachylił się i obmacał wnętrze. — A te dziury w ścianach kufra... wyglądają na świeże.

— Dlaczego? — Teraz kamerdyner zajął do kufra. — Nie widziałem ich nigdy. Może to jakiś czerw je zrobił.

— Proszę mi powiedzieć: gdy pan wrócił z papierosami, czy coś było tu zmienione, przedstawione stoły, krzesła?

— Przypominam sobie, że ten parawan przed drzwiami był przesunięty na lewo, tak, że zakrywał prawie cały kufer.

— Dlaczego parawan został przesunięty?

— Nie wiem, proszę pana.

— Jakże tu jest światło w tym pokoju?

— Zaraz panu pokażę. — To mówiąc kamerdyner opuścił zasłony i zapalił lampy. Przy tym świetle nie można było czytać.

— Zyrandol nie był zapalony — objaśnił Burgess.

— Bardzo mi pan pomógł — rzekł detektyw. — Już wiem, jak się sprawa przedstawiała.

Gdy Poirot wrócił do domu, zatelefonował do inspektora Millera. — Co się stało z torbą Claytona? — zapytał. — Zona mówiła, że zabrał ze sobą na stację.

— Zostawił ją w klubie, pewnie zapomniał.

— Co do sztyletu, to sądzę, iż należy zapytać służącą pani Spence, czy nie widziała go w domu swych chlebodawców. I zbadać jeszcze państwo Spence.

— Czyżby pan sądził...
— Panie inspektorze, proszę przeczytać Otella i zwrócić uwagę na osoby w nim występujące.

Detektyw rozłączył się z telefonem pollicj i zadzwonił do lady Chatterton.

— Tu mówi Poirot. Czy można rozmawiać z panią Clayton?

Za chwilę usłyszał głos Margarity.

— Mam jeszcze pytanie — rzekł detektyw. — Czy pani tańczyła tego wieczoru?

— Trochę.
— Z kim najczęściej?

— Z Jeremym Spence, trochę z majorem. Laren nie tańczy, zajmował się płytami.

— Dziękuję, przyjdę do pani wieczorem.

Trudno było przekonać inspektora Millera, ale Poirot nie ustąpił. — Proszę mi powiedzieć, co mówili Spence i Clayton na temat sztyletu?

— Przyznali się, że w ich domu był podobny przedmiot, ale zginał tydzień temu. Może go zabrał major?

Taksówka zatrzymała się

przed domem lady Chatterton.

Na piętrze oczekiwała ich Margarita. Gdy weszli do salonu, zaczął mówić Poirot.

— Domyśliłem się, jak się rozwinęły wydarzenia w domu majora. Zaczęliśmy badania od błędnej hipotezy, mianowicie, że były tylko dwie osoby, które mogły ukryć zwłoki w kufrze, Rich i Burgess. Tymczasem była jeszcze trzecia osoba — Arnold Clayton.

— Jak to? Schował własnego trupa? Pan zwiariował! — krzyknął Miller.

— Nie trupa, lecz własne ciało. Po prostu schował się do kufra. Domyśliłem się tego, gdy zobaczyłem świeże otwory w ścianach. Zrobił je, żeby mogło wchodzić powietrze. Potem zakrył kufer parawanem. Mógł od czasu do czasu unosić wieko i słyszeć, co się działo w pokoju. Chciał się przekonać, czy jego żona jest kochanką Richa. On także wymyślił historię z depezą, której nikt nie wysłał. Zostawił torbę w klubie, żeby mu nie przeszkadzała.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że popełnił samobójstwo? — zapytał inspektor.

— O nie, zabił go kto inny, kto już dawno obmyślał tę zbrodnię. Podniecał w Arnoldzie zazdrość, może podsunął mu pomysł ukrycia się w kufrze? Zbrodniarz ukradł już wcześniej sztylet. Nadszedł ów wieczór, światła są przyćmione, gra muzyka, dwie pary tańczą, on się zajmuje płytami obok parawanu. Wsunął się za parawan, podniósł wieko i uderzył sztyltem... to śmiało, lecz zupełnie łatwo!

— Dlaczego Clayton nie krzyknął?

— Był uśpiony narkotykiem podanym mu w klubie przez przyjaciela.

— Jack? — głos Margarity rozbrzmiał pełen dziecięcego zdumienia. — Jack, kochany, stary przyjaciel? Dlaczego to zrobił?

— Laren może się pogodził z rolą wiernego przyjaciela pani męża. Lecz oto przybywa jeszcze major, to za wiele! Zafascynowany nienawistką i pożądaniem obmyślał plan „zbrodni doskonałej”... podwójnej zbrodni, gdyż Rich zostanie uznany jako winny śmierci Claytona. Wierzy, iż po usunięciu tych dwóch mężczyzn zobędzie panią dla siebie... A pani może być się nawet zgodziła, prawda? Margarita opuściła głowę. — Nie wiem...

— Dobrze — wtrącił Miller, — ale nie mamy żadnych dowodów przeciwko Larenowi.

— Mylicie się państwo. Laren, gdy zobaczy, że wykryłszy jego plan, że zbrodnia „doskonała” spaliła na panewce l... co najważniejsze, że Margarita wie o tym — przyzna się do wszystkiego.

Oprac. A. S.



Rysował komputer ZAM



Lewym okiem

JAJKA W MAJONEZIE

Nie znoszę hałasu, nienawidzę wrzeszczących radioaparatur i telewizorów, dostają wysypki przy zbyt głośnej, tak zwanej młodzieżowej, muzyce. Jeśli powstaną jakieś towarzystwa antyhałasowe — odczuję jeszcze dziesiątkę, zostanie członkiem, powiększę swą kolekcję legitymacji członkowskich. Ale przeciw imieniu i rocznicę, wesele dwa-trzy razy w życiu, chrzciny też się trafiają i inne wyjątkowe, uroczyste okazje. Czasem trzeba się zejść w większym gronie, żeby twarzy ludzkich nie zabaczyć, żeby o kuzynach kuzynów nowiny wymienić, psy porozwieszać, leżkę wspomnień strząsnąć do płynnego owocu. Musimy spotykać się rodzinnie, a to znaczy także z zaprzyjaźnionymi rodzinami, czyli całkiem inaczej niż po prostu z przyjaciółmi. Przyjaciół spotyka się przy barku, w biurze, na zjeździe, na kursokonferencji. Rodziny można spotykać wyłącznie w domach, czyli najprzeważnie w blokach. No i hałas musi być, bo

szesnaście osób unieruchomionych wokół dużego stołu nie może robić nic innego jak przekrzykiwać się wzajemnie, a od czasu do czasu zaintonować góralską pieśń.

W rubryce „Czytelnicy proponują” zamieścił niedawno „Głos Robotniczy” projekt zorganizowania całej sieci „Terenowych Domów Imprez”, w których miałyby się odbywać wesela, chrzciny, imieniny i rocznice. Byłyby to — według projektodawcy — wnętrza efektowne i eleganckie, z uprzejmą i fachową obsługą. Odpadłaby nie tylko zmora sąsiedzkich hałasów, zwłaszcza w dni popularnych imion, ale i kłopoty gospodarzy i gospodyń z przygotowaniem jada i napitku, zbieraniem potłuczonych talerzy, praniem obrusów, odbudową zrujnowanych mebli. „Domy Imprez” stałyby z dala od domów mieszkalnych, w miejscach zadrzewionych, ustronnych, uporządkowanych.

Owszem, dobry pomysł. Przekonany jednak jestem, że rozwiąże małą część problemu: weseliska. I chyba nie poza tym. Na imieniny, chrzciny i rocznice schodzą się familiani z dzieciarnią. Rodzice wymieniają nowinki i toasty, dzieci się biją, mówią wierszyki — śpiewają o wieścioreczce, aż wrzeszczą zasypiają gdzieś pod szafą lub w komodzie. Czy byłoby to możliwe w efektywnym i eleganckim „Terenowym Domu Imprez”?

Przyjęcie gości jest okazją do pochwalenia się nowym kredensem, telewizorem, zastawą, talentami kucharskimi pani domu. Po co mielibyśmy kupować fi ranki i reprodukcje malarskie, skoro ciotka Lula i kuzyn Strąk nigdy by ich nie obejrżeli i nie zżółbiły z zazdrości? W „Domu Imprez” ani nie można mimochodem otworzyć szafy i pokazać długiego rzędu bluzek i sweterków, ani oglądać albumów rodzin-

nych, ani zdjęć marynarki i krawata, ani obcisnąć wszechstronnie kilka kuzynek i żon przyjaciół, którzy z kolei pragną przecieżyć czynić to samo „bez krępacji”, jak u siebie w domu. Nie można by się nawet wyrazić, bądź opowiedzieć kawału o lekarzu i o jednej pani!

Z drugiej strony — wiadomo, że każda instytucja społeczna, a taką byłyby „Domy Imprez”, musi na siebie zarobić i jeszcze coś radzie narodowej oddać. Więc zaczęłyby się narzuty. To już nie tylko pieczarki do każdego dania, mające cudowną moc potrajaną każdej ceny. To jeszcze dodatek za gotowość, za zastawę, wystawę, dostawę i działalność kulturalną, do tego narzut nocny plus dodatek świąteczny, do tego napiwki i odszkodowania za splamiony obrus, do tego zamiana kapeluszy w szatni i nie nadająca się do użytku ubikacja. Do tego „oddalone i zadzwierzone miejsce” z miejscową młodzieżą, spragnioną atrakcji, a więc konieczność zorganizowania samobrony. A najgorsze w tym wszystkim, że na wszystkich imieninach jedlibyśmy to samo jajko w majonezie, salatkę śledziową bez śledzia i tatar wybra-kowanego z kategorii „S”, a popijali — tą samą strażacką (różnie co prawda zwaną), dokupowaną nieuchronnie z bocznych kieszeni personelu miejscowego po cenach z walkulowanym ryzykiem. Nie, ja na takie imieniny nie pójdę. To by nie były żadne odwiedziny bliskich, tylko „impreza terenowa”, ze wszystkimi niebezpieczeństwami i przykrościami, związanymi z koniecznością korzystania ze służby gastronomicznej. My ją znamy, tę służbę. To już lepiej postaramy się przyciszyć domowe podejmowanie gości — może się uda i wszyscy rozejdą się naprawdę zadowoleni?

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlch (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Pa-luch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 98, telefony: 244-70, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 30, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk.: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 1460. D-7.